

MAGAZYN *razem z dodatkami*

Maria Deskur: Bez czytania możemy się cywilizacyjnie cofnąć

● Twoja pierwsza ko..., twoja pierwsza komórka! ● Długie pożegnanie z czarną ospą. W tle wątek polski

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV



GŁOS DZIENNIK POMORZA POMORZA

Piątek
8.05.2026

Nr 105 (5863)
Nakład: 9.390 egz.

www.gp24.pl
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Wraz z przyjaciółmi pomaga przełamać strach i tabu



Violetta Kiełpińska – prezes słupskiego oddziału Towarzystwa Stomijnego Pol-Ilko, to laureatka tytułu Osobowość Roku 2025 **str. 3**

Rozmowa. Mózg nie czeka na to, co się wydarzy. On cały czas „zgaduje przyszłość” **str. 2**

Region. Rowerzyści chcą tego szlaku **str. 4**

Słupsk. Sezon działkowy to także sezon dla złodziei. Policja przestrzega **str. 3**

Nr ISSN 0137-9526 Nr indeksu 348-570
9 770137 952053 19

Odkryto grób francuskich jeńców.
Jeden z nich „wrócił” do rodziny

TYGODNIK REGIONÓW – STR. 10-11



Ludzie. Katarzynę i Pawła Konsurów łączy wiele. Nie tylko małżeński węzeł oraz trójka dzieci

TYGODNIK REGIONÓW – STR. 15

Region. Podwyżka stawek za śmieci w gminie Potęgowo. Samorząd tłumaczy decyzję **str. 4**

Historia. 8 maja 1945 roku żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie stanęli przed tragicznym dylematem **str. 6**

Region. Lipa dla Stachury i Tuwima. Nowe lipy w Alei Poezji w Polanowie. „Spacer z leśnikiem”

TYGODNIK REGIONÓW – STR. 12-13

Przyroda. Każdy łęg sokoła wędrownego cieszy - od 40 lat walczymy o ich powrót

TYGODNIK REGIONÓW – STR. 16

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Cezary Pazura - wszyscy znamy jego komediowe role	PONIEDZIAŁEK ● Sportowy24: Grali na boiskach, grali na parkietach	WTOREK ● Strefa Biznesu: W gąszczu ekonomii nie zginięsz	ŚRODA ● Strona Zdrowia: Trudne pytania w aptece	CZWARTEK ● Pod Paragrafem: Masoni z Lublina	PIĄTEK ● Puls i Tygodnik Regionów. Teksty ze znakiem jakości
--	---	--	---	---	--

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 94 340 11 14, mail prenumerata.gdp@polskapress.pl, na stronie prenumerata.gp24.pl

Mózg nie czeka na to, co się wydarzy. On cały czas „zgaduje przyszłość”

Mira Suchodolska
Rozmowa

Z dr Arturem Pilacińskim, neuronaukowcem zajmującym się m.in. zjawiskiem dotyku fantomowego w rzeczywistości wirtualnej.

Czym właściwie jest „wirtualny dotyk”? Jak to możliwe, że czujemy coś, czego fizycznie nie ma?
Najprościej mówiąc: mózg nie czeka biernie na to, co się wydarzy. On cały czas „zgaduje przyszłość”. Przewiduje, jakie sygnały za chwilę do niego dotrą - z oczu, skóry, z różnych zmysłów - i na tej podstawie przygotowuje się do działania. Od pierwszych miesięcy życia uczymy się świata przez doświadczenie. Dziecko bierze przedmiot do ręki, ogląda go, ścisną, czasem wkłada do ust. W ten sposób mózg buduje coś w rodzaju wewnętrznego słownika: „tak wygląda kubek - i tak się go czuje”. Dzięki temu jako dorośli funkcjonujemy niezwykle sprawnie. Wystarczy spojrzeć na kubek, aby mózg automatycznie „wie-dział”, że ten kubek będzie miał określoną wagę, że trzeba go chwycić z odpowiednią siłą, że stawi opór przy ściskaniu.

Czyli świat, który odczuwamy, to w pewnym sensie efekt pracy mózgu „z góry”, a nie tylko tego, co do nas w czasie rzeczywistym dociera?

Dokładnie. To nie jest prosty odbiór sygnałów, tylko ich interpretacja i przewidywanie. Mózg łączy to, co widzimy, czujemy i robimy, w jeden spójny obraz. Najlepiej widać to w sytuacjach, gdy coś się nie zgadza. Wyobraźmy sobie: bierze pani do ręki coś, co wygląda jak ciężki metalowy przedmiot - np. coś, co wygląda jak sztanga - a ta „sztanga” okazuje się lekka, bo jest jej styropianową imitacją. Natychmiast pojawia się uczucie, że „coś jest nie tak”. Albo inny przykład: ktoś podaje pani rękę i jest ona nie-naturalnie zimna i wilgotna. To drobiazg, ale od razu wywołuje dyskomfort. Dlaczego? Bo mózg wykrywa błąd względem swoich przewidywań.

Czyli mózg jest bardziej „detektorem błędów” niż odbior-nikiem świata?

Tak - i to bardzo wydajnym. Na co dzień ignoruje ogromną liczbę bodźców, żebyśmy mogli skupić się na tym, co ważne. Gdybyśmy świadomie analizowali każdy kontakt skóry z ubraniem, każdy ruch palców czy każdą zmianę temperatury, byłibyśmy - a raczej nasz mózg - za bardzo przeciążeni. Mózg filtruje rzeczywistość i reaguje głównie wtedy, gdy coś odbiega od normy.

To tłumaczy też, dlaczego nie możemy się sami połaskotać?

Dokładnie. Mózg zna nasze ruchy „z wyprzedzeniem”. Kiedy sama pani się dotyka, mózg przewiduje ten bodziec i go tłumi. Natomiast gdy ktoś inny panią dotknie - to już jest nieprzewidywalne. I dlatego reakcja jest znacznie silniejsza.

No dobrze, przenieśmy się do rzeczywistości wirtualnej. Zakładamy gogle VR i co dalej?

W VR dochodzi do bardzo ciekawej sytuacji. Widzi pani swoją rękę i widzi pani, że dotyka ona jakiegoś przedmiotu - na przykład kubka. Dla mózgu to bardzo silny sygnał: „dotykasz”. Ale nie ma żadnego potwierdzenia ze skóry. I wtedy pojawia się konflikt. Mózg rozwiązuje go w prosty sposób - „uzupełnia brakujące informacje”. Innymi słowy: zaczyna wytwarzać odczucie dotyku.

Co ludzie wtedy czują?

Najczęściej mrowienie, delikatny chłód albo uczucie przepływu prądu. To nie jest realistyczne wrażenie trzymania przedmiotu, tylko raczej ogólny sygnał: „coś się dzieje”. Można to porównać do sytuacji, gdy zdrętwieje nam noga i zaczyna „wracać czucie”. To też nie jest konkretny dotyk, tylko niesprecyzowane odczucie.

Skąd mózg bierze ten sygnał, skoro nic nie dotyka skóry?

Bo mózg nie tylko odbiera sygnały - on je również generuje. Kiedy planujemy ruch, np. chwytanie kubka, tworzy jego „wewnętrzną symulację”. W normalnych warunkach ta

symulacja jest natychmiast korygowana przez rzeczywiste sygnały z ciała. W VR tych sygnałów nie ma - więc przewidywanie może „przebić się” do świadomości i zostać odczute.

Czy każdy może tego doświadczyć?

Nie - i to jedno z najciekawszych pytań badawczych. Różnice między ludźmi są duże. Najprościej porównać to do wyobraźni. Jedni potrafią wyobrazić sobie smak cytryny tak intensywnie, że aż się krzywią na samą myśl, iż piją jej sok. Inni tego odczucia nie mają, picie soku z cytryny jest dla nich czysto abstrakcyjną myślą. Podobnie jest z dotykiem fantomowym.

Czy to „błąd systemu”, dowód na ułomność naszego centrum dowodzenia?

A może raczej świadczy o jego neuroplastyczności, sprawności, zdolności do dostosowywania się do najbardziej skrajnych, dziwnych nawet warunków?

To dowód, że system działa bardzo dobrze. Mózg nie ma wbudowanego rozróżnienia „to jest prawdziwe, a to wirtualne”. On działa według reguły: jeśli coś wygląda i zachowuje się jak rzeczywistość - traktuje to jako rzeczywistość. Rzeczywistość wirtualna wykorzystuje te reguły.

Jakie mogą być praktyczne zastosowania waszych badań?

Najbardziej obiecujące są zastosowania medyczne, szczególnie w leczeniu bólu. Już dziś wiemy, że VR pomaga pacjentom z oparzeniami. Pokazuje się im np. sceny chłodzenia lodem czy zanurzania w śniegu - i to realnie zmniejsza odczuwanie bólu. Mózg reaguje na to tak, jakby ciało było rzeczywście chłodzone. My chcemy pójść krok dalej i sprawdzić, czy można wywołać wrażenie dotyku tam, gdzie fizyczny kontakt jest niemożliwy. To szczególnie ważne w przypadku pacjentów z ciężkimi oparzeniami czy przewlekłym bólem - tam dotyk jest albo niemożliwy, albo bardzo bolesny. Jeśli uda się „zastąpić”

go sygnałem generowanym przez mózg, moglibyśmy stworzyć zupełnie nową formę terapii.

Czyli coś w rodzaju „dotyku zastępczego”?

Tak. Proszę pomyśleć: kiedy się pani uderzy, automatycznie zaczyna pani masować to miejsce. Dotyk działa przeciwbólowo. Wirtualny dotyk mógłby pełnić podobną funkcję - tyle że bez fizycznego kontaktu. To szczególnie ważne tam, gdzie dotknięcie pacjenta powoduje dodatkowe cierpienie.

A inne zastosowania?

Nie jestem klinicystą, ale z tego, co wiemy z badań, potencjał jest bardzo szeroki. W rehabilitacji po udarze VR pozwala pacjentowi ćwiczyć ruchy w kontrolowanym środowisku, a jednocześnie bardzo precyzyjnie je mierzyć. System może dostosowywać trudność ćwiczeń do aktualnego stanu pacjenta - trochę jak trener personalny dla mózgu. W diagnostyce, np. choroby Parkinsona, VR pozwala wychwycić bardzo subtelne zmiany ruchu - takie, których lekarz nie jest w stanie dostrzec gołym okiem. Dzięki temu chorobę można wykryć wcześniej. Z kolei w szkoleniach medycznych lekarze mogą trenować skomplikowane procedury - operacje, zabiegi - w realistycznym środowisku, ale bez ryzyka dla pacjenta. To coś pomiędzy symulatorem lotu a salą operacyjną.

A zagrożenia?

A.P.: Największe dotyczą sfery społecznej. Jeśli dotyk w VR jest odczuwany jako realny, to także niepożądane interakcje mogą być realnie przeżywane. Był przypadek w Wielkiej Brytanii, gdzie zgłoszono molestowanie w wirtualnym świecie - osoba, której awatara dotknął awatar innego uczestnika chatu VR w intymne miejsce, odczuła to w sposób realny w swoim ciele. Organy ścigania to zlekceważyły... To pokazuje, że prawo i instytucje nie nadążają za technologią. ©©

KALENDARIUM

8 MAJA POLSKA

1254 Prawdopodobna data prawykonania hymnu Gaude Mater Polonia jako części nieszpornej rymowanego oficjum Historia gloriosissimi Stanisłai Wincentego z Kielczy, napisanego na kanonizację Stanisława ze Szczepanowa.
1947 Rotmistrz Witold Pilecki został aresztowany przez funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.
1953 Biskupi polscy skierowali do rządu PRL list, który przeszedł do historii pod nazwą Non possumus, co byłoby wyrazem braku zgody dla podporządkowania się Kościoła władzom świeckim (w odpowiedzi władze uwięziły kardynała Stefana Wyszyńskiego).

ŚWIAT

1886 Farmaceuta z Atlanty John S. Pemberton opracował recepturę napoju orzeźwiającego, który nazwał Coca-Colą.
1945 Dowództwo niemieckie podpisało w Berlinie bezwarunkową kapitulację wobec aliantów zachodnich i ZSRR (9 maja według czasu moskiewskiego). Zakończyło się powstanie praskie. Prezydent USA Harry Truman w przemówieniu radiowym poinformował Amerykanów o zakończeniu wojny w Europie.
1980 Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła całkowite wyłączenie ospy prawdziwej.
2025 Amerykański kardynał Robert Prevost został wybrany 267. papieżem i przyjął imię Leon XIV.

ZDJĘCIE TYGODNIA



Bibliotekarzem Roku 2025 okręgu zachodniopomorskiego została Barbara Markowska. Wczoraj odebrała nagrodę podczas Zachodniopomorskiej Inauguracji Tygodnia Bibliotek w Książnicy Pomorskiej. Bibliotekarką Roku 2025 została Natalia Gromow (Biblioteka Gdynia) reprezentująca okręg pomorski. Laureatka została wyłoniona z grupy 16 bibliotekarek - finalistek wybranych w pierwszym etapie okręgowym konkursu.

Violetta Kiełpińska i jej przyjaciele pomagają przełamać strach i tabu

Wojciech Lesner
Temat z pierwszej strony

Violetta Kiełpińska, prezes słupskiego oddziału Towarzystwa Stomijnego Pol-Ilko, to laureatka tytułu Osobowość Roku 2025 w kategorii działalność społeczna i charytatywna. Jak podkreśla, działalność prowadzonego przez nią stowarzyszenia to przede wszystkim pomoc osobom po wyłonieniu stomii i wsparcie w przełamywaniu lęku oraz społecznego tabu.

Violetta Kiełpińska nie ukrywa wdzięczności za otrzymane wyróżnienie. Jak jednak zaznacza liczą się dla niej przede wszystkim działania podejmowane przez Towarzystwo.

- Na samym początku chciałabym bardzo podziękować za te wszystkie głosy, które dostałam, bo dzięki tym głosom mogłam otrzymać tę nagrodę pierwszego miejsca osobowość roku. Nie powiem, że ta nagroda jest dla mnie bardzo ważna, ale to dlatego, że wszystko co do tej pory robiłam

i przypuszczam, że dalej będę robić, robiłam z potrzeby serca i tak naprawdę bezinteresownie. Ta nagroda jest imienna, ale ja chciałam tę statuetkę dedykować moim przyjaciółom. To są przecudowni ludzie, odważni, po przejściach, i pomimo tych wszystkich chorób, dolegliwości, z którymi się zmagają, oni potrafią działać, wspierać w tak trudnych tematach, zwłaszcza jeżeli chodzi o strach, lęk i takie społeczne tabu, jeżeli chodzi o stomię - mówiła Violetta Kiełpińska podczas konferencji władz Słupska, na którą została zaproszona.

Dla samego Towarzystwa nie nagroda jest najważniejsza, a właśnie pomoc i dotarcie do osób, które dotknęły życiowe trudności. Jak tłumaczy Kiełpińska, diagnoza nowotworowa często wiąże się z ogromnym obciążeniem psychicznym. Chorzy muszą zmierzyć się nie tylko z informacją o raku, ale również z koniecznością leczenia i wyłonienia stomii.

- Generalnie jak dowiadujemy się, że mamy chorobę nowotworową, na przykład raka



Violetta Kiełpińska - Osobowość Roku w plebiscycie Głosu Pomorza i Dziennika Bałtyckiego

odbytu albo raka jelita grubego, to nie dość, że dostajemy tę diagnozę i ciężko sobie z tym poradzić, to my jako właśnie „jelitowcy”, mamy jeszcze dodatkowe obciążenie, dlatego że najpierw dowiadujemy się, że mamy ciężką chorobę, a za chwilę dowiadujemy się, że żeby wykonana została operacja, to musimy mieć radioterapię

lub chemioterapię. Jest jeszcze trzecia rzecz - będziemy mieć wyłonioną stomię. Dla jednej osoby, na jedną głowę, to jest naprawdę za dużo - podkreśla Violetta Kiełpińska.

Dodaje, że właśnie dlatego wiele osób zamyka się w domach i izoluje od otoczenia. Towarzystwo stara się pokazywać, że mimo trudnej diagnozy

można wrócić do aktywnego życia.

- Najgorszą rzeczą w każdej chorobie i myślę, że w życiu jest stres przewlekły. On po prostu paraliżuje, zabiera nam radość i zabiera nam siłę. A z tym workiem (stomijnym - dop. red.) da się prawie normalnie żyć. Dlatego też jesteśmy tu w Słupsku, służymy swoją pomocą. Jak ja idę do kogoś na wolontariat do domu, to całą tą inicjatywę przejmuję właśnie rodzina, mąż, żona, mama, tata, to oni tak naprawdę dbają o tego człowieka. Ten człowiek przez jakiś tam moment jest tak naprawdę jakby nieobecny, dlatego wspieramy tych ludzi, jeździmy nawet na własne koszty, jeżeli potrzeba - mówi prezes słupskiego Pol-Ilko.

Słupski oddział Towarzystwa Stomijnego od lat działa wspólnie z wolontariuszami i członkami na rzecz pacjentów stomijnych. Zespół służy poradami i działaniami takimi jak: wsparcie osób ze stomią, zwłaszcza tych, którzy są po wyjściu ze szpitala i nie wiedzą, co dalej; pomoc w dobraniu sprzętu sto-

mijnego; porady w zakresie pielęgnacji stomii i diety; pomoc w akceptacji posiadania stomii i wsparcie rodziny; pomoc w razie potrzeby w kontakcie z pielęgniarką stomijną, psychologiem i psychotraumatologiem. Z Towarzystwem można skontaktować się za pośrednictwem mediów społecznościowych lub poprzez e-mail e-mail: violetta5@onet.eu. Siedziba organizacji mieści się przy ul. Niedziałkowskiego 6 w Słupsku w budynku SCOPIES.

Osobowości Roku

Plebiscyt Osobowości Roku, to coroczna inicjatywa „Głosu Pomorza” i „Dziennika Bałtyckiego” mająca na celu uhonorowanie ludzi aktywnych, zaangażowanych i inspirujących. Wyróżniani są mieszkańcy działający m.in. w obszarach kultury, działalności społecznej i charytatywnej, samorządności, biznesu, nauki oraz innowacji. O tym, kto zasługuje na to prestiżowe wyróżnienie, decydują czytelnicy „Głosu Pomorza”, oddając swoje głosy.

©®

Sezon działkowy to także sezon dla złodziei. Policja przestrzega

Wojciech Lesner
Słupsk

Wraz z początkiem sezonu działkowego rośnie liczba sytuacji sprzyjających kradzieżom. Policjanci ze Słupska apelują do właścicieli ogródków o większą ostrożność i przypominają, że złodzieje często działają szybko, wykorzystując nieuwagę i brak zabezpieczeń.



Wystarczy chwila pracy przy grządkach, krótka nieobecność lub moment nieuwagi, by stracić pieniądze, dokumenty czy cenny sprzęt pozostawiony na działce. Policjanci alarmują, że złodzieje często obserwują działkowców i wykorzystują każdą okazję, dlatego warto zachować czujność i odpowiednio zabezpieczyć swoje rzeczy.

- Podczas pobytu na działce często odkładamy wartościowe przedmioty w widocznych miejscach lub pozostawiamy je bez nadzoru. Takie sytuacje mogą zostać wykorzystane przez osoby szukające łatwego łupu. Złodzieje liczą właśnie na okazję, dlatego warto zachować czujność i stosować się do kilku podstawowych środ-

ków ostrożności - przypomina słupska policja.

Jak uchronić się przed potencjalnymi kradzieżami? Policjanci przypominają kilka podstawowych zasad:

- nie pozostawiaj na działce wartościowych przedmiotów, a w trakcie prac uważaj na rzeczy osobiste: pieniądze, karty bankomatowe, dokumenty i klucze;

- nie pozostawiaj na widocznym miejscu (np. ławka przed altanką) rower, torbę czy saszetki - są widoczne nie tylko dla ciebie, ale również dla złodzieja;

- nie zostawiaj altanki otwartej, nawet jak wychodzisz tylko na chwilę;

- jeżeli zauważysz kręcące się w pobliżu, podejrzaną osobę, nie przechodź koło nich obojętnie. Zainteresuj się, co tam robią, zapytaj, może są czyimiś gośćmi, ale może właśnie sprawdzają teren. W razie podejrzeń dzwoń na policję;

- oznakuj wszystkie wartościowe przedmioty, np. elektronarzędzia, będące na działce lub spis ich numery fabryczne. W razie kradzieży łatwiej będzie później zidentyfikować.

Zachowanie ostrożności i stosowanie się do prostych zasad może skutecznie ograniczyć ryzyko kradzieży - podkreślają funkcjonariusze policji.

©®

REKLAMA

0011519937

AUTORYZOWANY
SERWIS I PUNKT SPRZEDAŻY
NILFISK



**PROFESJONALNA
OBSŁUGA
Z WIELOLETNIM
DOŚWIADCZENIEM**

**Słupsk, ul. Przemysłowa 34b
Tel. 602 442 117
e-mail: mariusz-zawacki@wp.pl
www.jmk-serwis.pl**

Rowerzyści chcą tego szlaku

Robert Gębuś
Region

Rowerzyści i samorządowcy chcą przyspieszenia budowy trasy rowerowej z Łeby do Bytowa. Ambitny projekt ma wsparcie marszałka województwa pomorskiego.

Trasa rowerowa z Łeby do Bytowa może stać się turystycznym hitem, ale do tego jeszcze daleka droga i nie da się jej przejechać rowerem.

Procedury ruszyły przed rokiem, kiedy w Kozinie podpisano porozumienie w sprawie utworzenia szlaku rowerowego. Po roku projekt wciąż jest na etapie przygotowywania dokumentacji i poszukiwania źródeł finansowania. Samorządowcy z powiatu łębskiego i bytowskiego chcą przyspieszenia tych prac. W spotkaniu z Leszkiem Waszkiewiczem, starostą bytowskim, z samorządowcami z gminy Parchowo i gminy Czarna Dąbrówka wziął udział m.in. Adrian Wenta, wicestarosta łębski i Andrzej Lubiński, oficer rowerowy powiatu łębskiego.

- Zdaję sobie sprawę jak bardzo środowisku rowerowemu zależy na tym przedsięwzięciu, dlatego w gronie samorządowców staramy się dopracować jak najwięcej szczegółów - mówi Adrian Wenta, wicestarosta. - Ustalamy też niezbędne dokumenty, które muszą powstać, by szlak zaistniał formal-



Szlak rowerowy z Łeby do Bytowa jest w sferze planowania. Rowerzyści chcą przyspieszenia prac

nie, a także rozmawiamy o możliwych źródłach finansowania przedsięwzięcia. To oczywiście najtrudniejszy element przygotowań, ale jestem dobrej myśli w tym względzie, tym bardziej, że ten szlak wpiszałby się idealnie w strategię rozwoju turystyki rowerowej na Pomorzu.

Rowerzyści organizują zlot poparcia

Przyspieszenia prac w związku z budową szlaku oczekują także sami rowerzyści, którzy już na 25 kwietnia br. zaplanowali zlot pod hasłem „Spotkajmy się w samo południe” nad Jeziołem Leśnym w Cewicach, pod honorowym patronatem Mieczysława Struka, marszałka województwa pomorskiego. Podczas zlotu, oprócz tradycyjnych atrakcji charakterystycznych

dla zlotów rowerowych pasjonatów, odbędzie się prezentacja rekomendowanego przebiegu szlaku rowerowego i dyskusja nad szczegółami w środowisku praktyków, by trasa była nie tylko turystycznie atrakcyjna, ale także dostępna dla rowerzystów w różnych grupach wiekowych.

Rozmowy będą dotyczyły również niezbędnej infrastruktury i wyposażenia, jak choćby w stacje naprawy rowerów.

- Jestem ogromnie podbudowany przychylnością samorządowców, co potwierdzili podczas piątkowych rozmów - mówi Andrzej Lubiński, oficer rowerowy. - Do wykonania mamy ogromną pracę, ale jestem przekonany, że finalny efekt będzie wart tych wszystkich zabiegów, a sam szlak stanie się stałym elementem turystycznych wypraw cyklistów.



Rowerzyści planują zlot poparcia dla inwestycji. Nowy szlak wiódłby częściowo wybudowanymi już trasami

Cieszy wsparcie leśników oraz to, że nad naszym planowanym zlotem patronat przyjął marszałek.

Szlak przez malownicze tereny

Ponad 80-kilometrowa trasa łączyłaby już istniejące trasy rowerowe R-10 w Łebie i z R-20 w Bytowie. Fragmentami przebiegałaby przez malowniczą nieczynną linię kolejową 237 do Bytowa, leśne ostępy, mijając wiadukty, pozostałości po torowiskach. Pomysł nie jest nowy. Wspominano o nim już w 2012 roku, w 2018 pojawił się konkretny projekt, który do dziś leży w szufladzie urzędu marszałkowskiego. Samorządowcy będą chcieli go dopasować do nowej koncepcji.

Jak podkreśla Andrzej Lubiński, ten szlak ma ogromny potencjał dla rozwoju turystyki

rowerowej nie tylko na Pomorzu, ponieważ połączy dwa istniejące szlaki europejskie, stając się elementem systemu tras promowanych na obszarze zjednoczonej Europy. Stworzy również nowe warunki do rozwoju usług branży turystycznej, od gastronomii, po hotelarstwo.

Budowa tak dużej trasy rowerowej z infrastrukturą towarzyszącą i miejscami postojowymi to ogromne przedsięwzięcie. W dalszej perspektywie planowane jest zintegrowanie trasy z międzynarodowym systemem dróg rowerowych. Dla rowerzystów to rozwiązanie idealne, tyle że do jego realizacji jeszcze długa droga. I to nie tylko dla rowerów.

Tym bardziej, że pojawiają się plany na renowację zabytkowych wiaduktów i mostów, których na trasie nie brakuje.

Obecnie wybudowanie kilometra drogi rowerowej to koszt ok. miliona zł. W sumie szlak rowerowy Łeba-Bytów miałby ok. 90 km, ale biorąc pod uwagę, że część tras jest już gotowa, do wybudowania pozostałoby ok. 40 km dróg rowerowych w trudnym terenie.

- Są też obiekty mostowe, w Kozinie, czy koło Oskowa, gdzie należałoby je dostosować do ruchu rowerowego - wspominał Adrian Wenta, wicestarosta łębski, który podkreśla, że samorządów nie stać na takie inwestycje i potrzebne są do tego środki zewnętrzne.

W założeniu trasa powstałaby fragmentami. Poszczególne odcinki, jak z Łeby do Nowej Wsi Łębskiej są już gotowe, inne w planach. Na odcinku linii kolejowej Bytów - Pomysk Mały jest już asfaltowa ścieżka rowerowa o długości 7 km.

Wszystkie odcinki zostałyby uzupełnione i spięte w całość.

- W okolicach Bytowa, Czarnej Dąbrówki, Cewic czy Łęborka jest wiele oznakowanych tras rowerowych - mówi Adam Matuszek instruktor turystyki kwalifikowanej i lider Grupy Turystyczno - Rowerowej Lew Łębork. - Budowa ścieżki rowerowej po byłej linii kolejowej byłaby takim kręgosłupem i filarem spinającym wiele tras rowerowych na obszarze powiatów bytowskiego i łębskiego. Wierzę, że za słowami pójdą czyny i szlak rowerowy z Łeby do Bytowa powstanie.

Podwyżka stawek za śmieci w gminie Potęgowo. Samorząd tłumaczy decyzję

oprac. Wojciech Lesner
Region

Od 1 lipca br w gminie Potęgowo zaczną obowiązywać nowe stawki opłaty za gospodarowanie odpadami. Jak argumentują urzędnicy, obecne wpływy od mieszkańców nie pokrywają już kosztów odbioru śmieci, a zmiana stawek jest niezbędna, aby powstrzymać powiększającą się lukę finansową w systemie.

Przez ostatnie dwa lata gmina unikała podwyżek, finansując niedobory z własnego budżetu. W 2024 roku dopłata wyniosła niemal 487 tys. zł, a rok później przekroczyła już 542 tys. zł. Jak zaznaczają urzędnicy, były to środki pochodzące z podatków wszystkich mieszkańców, czyli

pieniądze, które mogłyby zostać przeznaczone na inwestycje lub utrzymanie infrastruktury.

- Obecnie stoimy przed koniecznością dostosowania stawek do realnych kosztów, które dyktuje rynek. Nowy przetarg na odbiór i zagospodarowanie odpadów pokazał, że koszt funkcjonowania systemu w nadchodzącym roku (2026/2027) wyniesie 2 563 175,88 zł. W związku z tym od 1 lipca 2026 r. zaczną obowiązywać nowe stawki: 37,00 zł miesięcznie od osoby lub 33,00 zł w przypadku właścicieli domów jednorodzinnych korzystających z kompostownika. Zmianie ulegną również opłaty za pojemniki - wymieniają urzędnicy.

Mimo podwyżki, gmina przewiduje, że w systemie na-

dal może zabraknąć około 300 tys. zł.

- Warto podkreślić, że wspólnie pracujemy na to, by system był bardziej efektywny. W ostatnim roku poszerzyliśmy pakiet usług o bezpośredni odbiór odzieży i tekstyliów z nieruchomości oraz wprowadziliśmy selektywną zbiórkę popiołu wraz z dostarczeniem odpowiednich pojemników. Te działania są niezbędne, abyśmy mogli osiągnąć wymagane prawem poziomy recyklingu i uniknąć bardzo wysokich kar finansowych, które obciążłyby wszystkich. Sytuację dodatkowo komplikuje wprowadzony w październiku 2025 r. ogólnopolski system kaucyjny - sprawia on, że w gminnym obiegu zostają odpady trudniejsze i droższe w przetwa-

rzaniu - przekonują samorządowcy.

Władze gminy zapowiadają jednocześnie wsparcie dla osób w trudniejszej sytuacji materialnej (w tym emerytów czy osób z niepełnosprawnościami). Od 1 lipca ruszy program osłonowy, który umożliwi zwrot nawet 90 proc. kosztów opłat za odpady.

- Program skierowany jest do mieszkańców, którzy nie zalegają z płatnościami, a ich dochód nie przekracza 2 676,50 zł dla osoby samotnej lub 2 180,95 zł na osobę w rodzinie. Wniosek o przyznanie świadczenia będzie można złożyć w Gminnym Ośrodku Pomocy Społecznej - informuje gmina.

W związku ze zmianą stawek mieszkańcy nie muszą składać nowych deklaracji. ©

KRÓTKO

REGION

Zakończyła się inwestycja związana z budową nowego żłobka „Gustek” w Grabnie (gmina Ustka). W placówce przygotowano miejsce dla 30 dzieci do 3. roku życia. Obiekt ma zacząć funkcjonować we wrześniu bieżącego roku.

Nowy obiekt, jak przekonują urzędnicy, robi świetne wrażenie. Jest jasny, przestronny, a co najważniejsze - nowoczesny.

- Wokół znajduje się dużo zielonej przestrzeni, w tym plac zabaw i wiata, co stworzy

dzieciom doskonałe warunki do codziennej aktywności. Całość położona jest w spokojnej, przyrodniczo bogatej okolicy, a jednocześnie z bardzo dobrym dojazdem: kilkaset metrów od DK21, tuż przy nowej drodze łączącej Grabno i Przewłokę - informują samorządowcy z gminy Ustka.

Wartość inwestycji to prawie 4,58 mln złotych, z czego 2,12 mln zł pochodzi z Program „Aktywny Małuch 2022-2029” finansowanego ze środków KPO. Reszta to wkład własny gminy. **LES**

0011520690

Wyrazy współczucia i słowa wsparcia Panu

Michałowi Żmijewskiemu

z powodu śmierci



Taty

składają Zarząd, Rada Nadzorcza i Pracownicy PGK sp. z o.o. w Słupsku

ORLEN wzmacnia bezpieczeństwo Polaków. 20 mln zł dla strażaków w całym kraju

W ramach 25. jubileuszowej edycji programu „ORLEN na straży”, Fundacja ORLEN przeznaczy 20 mln zł na wsparcie jednostek straży pożarnej w całej Polsce. To jeden z największych i najdłużej realizowanych programów wspierających strażaków, który realnie wzmacnia gotowość służb ratowniczych i system bezpieczeństwa kraju.

Gdy w środku nocy słychać syreny alarmowe, nikt nie pyta, czy to dobry moment. Strażacy po prostu ruszają do akcji. Gaszą pożary, wyjeżdżają do wypadków, śpieszą z pomocą w czasie podtopień, awarii linii energetycznych czy rozlanego paliwa. Tam, gdzie inni doświadczają nagłych i przykrych zdarzeń, oni natychmiast przystępują do działania, niosąc pomoc każdemu, kto jej potrzebuje. Aby jednak robić to skutecznie, strażacy również potrzebują wsparcia – zapewnia je program „ORLEN na straży”.

To jedna z największych inicjatyw realizowanych w naszym kraju, która realnie wspiera jednostki straży pożarnej. W 2026 roku Fundacja ORLEN przeznaczy na ten cel 20 mln zł. Budżet pozwoli na lepsze przygotowanie jednostek, wyposażenie ich w nowocześniejszy sprzęt, zwiększenie bezpieczeństwa ratowników i sprawniejsze działania wszędzie tam, gdzie liczy się każda minuta. Jubileuszowa, 25. edycja programu potwierdza, że to inicjatywa realizowana w sposób przemysłany, konsekwentnie i odpowiedzialnie.

Program, który odpowiada na realne potrzeby

„ORLEN na straży” to wsparcie zarówno dla jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej, jak i Państwowej Straży Pożarnej. Dwa lata temu program przeszedł istotną przemianę, odpowiadając na zgłaszane przez strażaków potrzeby. Wsparcie zostało rozszerzone – obok finansowania sprzętu większy nacisk położono na rozwój kompetencji, szkolenia i przygotowanie do coraz bardziej wymagających zadań. Od tego czasu w ramach programów strażackich ORLEN przyznał granty o łącznej wartości ponad 36,8 mln



zł, wspierając 756 jednostek w całej Polsce.

Korzyści płynące z tej inicjatywy najlepiej ilustruje wypowiedź Michała Treski, Prezesa Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo: – *Wsparcie z programu „ORLEN na straży” w przypadku naszej jednostki przełożyło się na bardzo konkretne i odczuwalne zwiększenie zdolności operacyjnych. Przede wszystkim znacząco poprawiły się bezpieczeństwo i gotowość bojowa strażaków dzięki doposażeniu w nowe ubrania specjalne. Pozwala to większej liczbie ratowników jednocześnie brać udział w działaniach w strefie zagrożenia. Ma to więc bezpośredni wpływ na szybkość reakcji oraz skalę interwencji. Ubrania specjalne to nasz najważniejszy środek ochrony, a jego sprawność i nowoczesność chronią nasze zdrowie i dają spokój działania.*

Projekt pozwolił nam także odpowiedzieć na nowe wyzwania wynikające z rozwoju technologii, takie jak pożary instalacji fotowoltaicznych czy pojazdów elektrycznych. Doposażenie jednostki w dedykowany sprzęt gaśniczy oraz narzędzia do działań technicznych, w tym do siłowego otwierania drzwi, zwiększyło skuteczność interwencji w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia życia. W efekcie nasza jednostka nie tylko działa szybciej, lecz też jest przygotowana na znacznie szerszy zakres zdarzeń.

W tegorocznej edycji zaprojektowano cztery ścieżki ubiegania się o granty. Każda z nich odpowiada na inny typ zagrożeń i inny profil działań ratowniczych.

Cztery ścieżki, jeden cel – skuteczniejsze działania

Pierwsza ścieżka grantowa dotyczy ratownictwa związanego z wypadkami drogowymi. Jednostki mogą ubiegać się tu o grant do 50 tysięcy złotych. Wypadki drogowe należą dziś do najbardziej wymagających interwencji. Tu liczy się nie tylko czas, ale też precyzja, odpowiedni sprzęt i właściwe przygotowanie zespołu.

Druga ścieżka to ratownictwo związane z przemysłem chemicznym oraz z instalacjami odnawialnych źródeł energii, obejmującymi infrastrukturę Grupy ORLEN. Tu niezbędne wyposażenie i przygotowanie strażaków jest jeszcze bardziej wymagające. Jednostki OSP i PSP mogą wnioskować nawet o 150 tysięcy złotych, co pozwala realnie zwiększyć gotowość do działania przy tego typu zagrożeniach.

Trzecia ścieżka to szeroko rozumiana walka ze skutkami zmian klimatycznych. Powodzie, pożary terenów otwartych, gwałtowne wichury są dziś coraz częstszymi zjawiskami i stanowią codzienną służb ratunkowych. Aplikując w tym obszarze, jednostki OSP mogą otrzymać do 40 tysięcy złotych.

I wreszcie czwarta ścieżka – wsparcie dla jednostek OSP

spoza krajowego systemu ratowniczo-gaśniczego, które chcą osiągnąć wymagane przez system standardy i rozwijać swoją gotowość operacyjną. To bardzo ważny element programu, ponieważ wzmacnia także te jednostki, które chcą rozbudować swój potencjał.

„ORLEN na straży” to także edukacja i szkolenia

Program nie ogranicza się tylko do finansowania wyposażenia – bardzo mocno stawia na bezpośrednie wsparcie strażaków. Każda jednostka, która otrzyma grant, musi przeznaczyć minimum 20% środków na szkolenia, kursy, warsztaty lub wsparcie psychologiczne. – *Środki z programu zostały w naszym przypadku wykorzystane nie tylko na zakup sprzętu, ale właśnie na rozwój kompetencji strażaków-ochotników, co było bardzo ważne dla pełnego wykorzystania potencjału projektu. Zorganizowaliśmy szkolenia specjalistyczne, obejmujące między innymi ratownictwo chemiczne, działania przy wyciekach gazu oraz reagowanie na zagrożenia związane z nowocześniejszymi technologiami, takimi jak instalacje fotowoltaiczne czy pojazdy elektryczne. Udało nam się zrealizować te szkolenia na profesjonalnych poligonach, co bez finansowania z projektu nie byłoby możliwe – mówi Michał Treska z OSP Gdańsk-Sobieszewo. – Duży nacisk położyliśmy również na praktyczne warsztaty, które pozwoliły prze-*

ćwiczyć wykorzystanie nowo zakupionego sprzętu w realistycznych scenariuszach działań. Dzięki temu wiedza nie pozostała wyłącznie teoretyczna, a sprzęt nie trafia jedynie „na półkę”. Istotne było dla nas także to, aby w szkoleniach uczestniczyło jak najwięcej strażaków, co przekłada się na większą elastyczność i gotowość zespołu w codziennej służbie. Udało nam się część szkoleń zrealizować również przy użyciu technologii VR, która choć nie zastępuje działań w terenie, to stanowi wartościowe uzupełnienie i daje możliwość utrwalania procedur „na sucho” poprzez ich wielokrotne powtarzanie w dowolnie wybranym momencie.

W ramach projektu realizujemy również działania z zakresu wsparcia psychologicznego. To szczególnie istotne, ponieważ ten obszar ma ogromne znaczenie w naszej działalności, a dopiero od niedawna dostrzega się jego znaczenie. Należy pamiętać, że ochotnicy wykonują swoje działania dodatkowo, w ramach wolnego czasu, który mogliby spędzić na przykład z rodzinami. Zdarzenia, z którymi się mierzą, są często trudnym doświadczeniem. A przecież

nasi członkowie, strażacy i strażaczki, to „twardzi ludzie” i często sami nie umieją poprosić o pomoc, by rozładować napięcie, które się w nich gromadzi. Warsztaty w obszarze wsparcia psychologicznego skupiały się więc na radzeniu sobie ze stresem oraz na funkcjonowaniu po trudnych akcjach ratowniczych – zaznacza Prezes Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo.

Nabór do 25. edycji programu „ORLEN na straży” trwa do 30 czerwca

Wnioski w ramach tegorocznego naboru do programu można składać do 30 czerwca 2026 roku za pośrednictwem specjalnego formularza na stronie internetowej orlennastry.pl. Wyniki zostaną ogłoszone najpóźniej 11 września. We wniosku należy szczegółowo opisać planowany projekt, uzasadnić jego znaczenie dla bezpieczeństwa lokalnej społeczności oraz przedstawić kosztorys. Pomocna jest tu platforma aplikacyjna, która przeprowadzi krok po kroku przez cały proces i nie pozwoli niczego pominąć. Cały proces naboru odbywa się drogą elektroniczną. Zachęcamy do wzięcia udziału w programie „ORLEN na straży”.



Michał Treska, Prezes Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo.

Angielscy przyjaciele Polaków

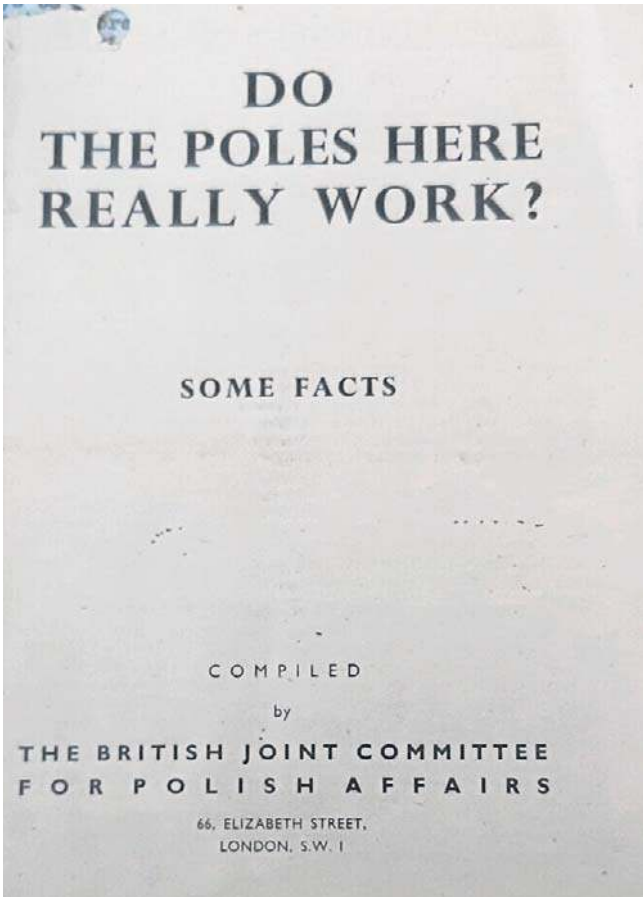
Maciej Zakrzewski

8 maja 1945 r. skapitulowała III Rzesza. Dla Europy był to koniec niemal sześćoletnich zmagañ wojennych, które pochłonięły miliony ofiar. Żołnierze wracali do domu. Jednak nie zawsze i nie wszędzie. Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie stanęli przed tragicznym dylematem: wracać do kraju, którego przyszłość rysowała się w coraz ciemniejszych barwach, czy pozostać na Zachodzie, gdzie ich perspektywy również nie napawały optymizmem?

Winston Churchill w mowie w Izbie Gmin 27 lutego 1945 r., w której relacjonował postanowienia konferencji jałtańskiej, podkreślał, iż rząd Jego Królewskiej Mości nigdy nie zapomni o długu wobec polskich żołnierzy walczących pod brytyjskim dowództwem. Zaznaczył, że szczegóły wymagają konsultacji, miał jednak nadzieję, iż „Polacy będą mogli zamieszkać wśród nas, jakby byli z naszej krwi”. Wymowy nabiera fakt, że Churchill udzielił tego zapewnienia wbrew głosom płynącym z ministerstwa spraw zagranicznych czy ministerstwa wojny. Ten wielki polityczny realista, w swojej polityce nie kierujący się sentymentami, tutaj jawił się od innej strony. Tuż przed cofnięciem uznania dla Rządu RP na Uchodźstwie i nawiązaniem stosunków z war-

szawskim Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej (TRJN), mówił, iż rząd Jego Królewskiej Mości jest odpowiedzialny za losy polskich żołnierzy do czasu, aż przyszłość Polski nie zostanie rozstrzygnięta. Przypomnijmy tylko, że na skutek postanowień konferencji jałtańskiej w Polsce miały odbyć się wolne wybory. Tej nadziei wielu się wciąż trzymało.

Wolne wybory nie odbyły się nad Wisłą, ale miały miejsce w Wielkiej Brytanii. Z końcem lipca Churchill stracił fotel premiera, jego miejsce zajął przedstawiciel Partii Pracy Clement Attlee. Rząd pod jego kierunkiem nie podzielał sentymentu swojego poprzednika i dążył do jak najszybszego porozumienia z TRJN i procesu repatriacji. Z końcem wojny w szeregach PSZ pod brytyjskim dowództwem znajdowało się około 240 tysięcy żołnierzy, do tego należy dodać ponad 30 tysięcy cywilnych pracowników związanych z polską administracją w Anglii. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej nie był skory do kompromisu. Oczekiwał oddania zorganizowanych formacji pod własną komendę, następnie zdecydował, iż każdy żołnierz chętny do powrotu będzie musiał otrzymać za pośrednictwem konsulatu indywidualną zgodę. Brytyjczycy zachęcali do wyjazdu do Polski, jednak ich apele miały ograniczoną skuteczność. Ostatecznie na Wyspach pozostało po 1946 r. ponad 150 tysięcy Polaków.



Jedna z ulotek walczących ze stereotypami na temat Polaków w Wielkiej Brytanii, 1949 r.

Poles go home!
Sytuacja Polaków na Wyspach po zakończeniu wojny i rozwiązaniu PSZ była skomplikowana. Byli to przede wszystkim wojskowi – mężczyźni w wieku produkcyjnym, zazwyczaj bez dobrej znajomości języka angielskiego, którzy

ostatnie lata spędzili w warunkach wojennych. W normalnej sytuacji taka demobilizacja zawsze niesłaby ze sobą wiele problemów, a tym bardziej w kraju, w którym pozostawali oni niejako z historycznego przymusu. Ów „naród na wygnaniu” skupiony wokół legal-

nych władz emigracyjnych był hermetyczny. Polacy nie ubiegali się obywatelstwo brytyjskie. Ci, którzy rozpoczynali proces naturalizacji, skazywali się na środowiskowy ostracyzm. Z drugiej strony społeczeństwo brytyjskie nie rozumiało dlaczego Polacy nie wracają do kraju i przedłużają gościnę. Narastały uczucia wrogości potęgowane przez trudną powojenną sytuację gospodarczą. Napisy „Polacy do domu” i „Anglia dla Anglików” zaczęły się masowo pojawiać wokół polskich skupisk tuż po zakończeniu wojny. Odnotowywano liczne przypadki fizycznej napaści, które motywowane były polskim pochodzeniem. Nastroje te wspomagala inspirowana z ZSRS propaganda, która otwarcie oskarżała Polaków o „faszyzm” i „obszarnictwo”.

Rząd angielski widząc problem polityczny i społeczny, postanowił powołać jesienią 1946 r. Polski Korpus Rozmieszczenia i Przysposobienia. Była to ochotnicza formacja w ramach armii brytyjskiej, która miała za zadanie przez okres maksymalnie dwóch lat przysposabiać pod względem zawodowym i społecznym byłych żołnierzy PSZ do życia w cywilu. Chodziło o stworzenie stabilnych warunków (w Korpusie otrzymywano regularny żołd) dla wykształcenia nowych kompetencji zawodowych i językowych, dzięki którym po opuszczeniu Korpusu, Polacy nie trafiliby na przyszłowiową ulicę. Oprócz tego tworzone cały szereg programów społecznych, które ograniczałyby skutki demobilizacji. Na szeroką skalę organizowano ośrodki mieszkalne i pomniejsze hostele, jadalnie, kursy językowe. Do końca 1949 r. w 36 ośrodkach mieszkało 16.500 Polaków.

Solidarni
Wielkiej wagi nabierały oddolne inicjatywy społeczne, które miały za zadanie przełamywanie barier. Wśród wielu organizacji, jak Polish Relief Fund, najważniejsze były stowarzyszenia anglo-polskie (Anglo-Polish Societies). Należy pamiętać, że nie była to jedna ogólnoangielska organizacja, tylko oddolnie, spontanicznie powstające struktury. Do roku 1954 na terenie Anglii i Walii istniało około 60 tego typu organizacji. Jedyną ogólnokrajową strukturą była The Central Council of Anglo-Polish Societies (Rada Główna), która w latach 50. wydawała własne pismo pt. „Anglo-Polish Review”.
Jako cele stawiano sobie nie tylko tworzenie powiązań pomiędzy angielską i polską społecznością, ale m.in. przeciw-

działanie aktom wrogości, pośredniczenie pomiędzy Polakami i władzami angielskimi, pomoc w znalezieniu pracy czy organizacji miejsc tymczasowego pobytu. Przedstawiciele poszczególnych Towarzystw, jak i Rady Główniej, pozostawali w bliskim kontakcie z angielską administracją i ministerstwami, brali czynny udział w praktycznej realizacji pomocy Polakom. Co ważne, rząd angielski dostrzegał rolę pomocy Towarzystw, często podkreślano w dokumentach ich wagę jako wsparcie dla odgórnych działań. Ich aktywność obejmowała niezwykle szeroki zakres: od organizacji wykładów dotyczących Polski i Anglii, imprez kulturalnych, paczek świątecznych dla dzieci, pomocy chorym w szpitalach, po cały szereg inicjatywy związanych z pracą i edukacją. Regułą było, że zarządy poszczególnych stowarzyszeń miały charakter mieszany, zasiadali w nich Polacy i Anglicy, często odnajdujemy w nich przedstawicieli lokalnej arystokracji. Spośród wielkiej liczby działań warto wskazać dwóch sekretarzy Rady Centralnej, którzy pełnili rolę animatorów inicjatywy, tj. Herberta Fostera Andersona i Auberona Herberta. Obaj byli wielkim sympatykami sprawy polskiej w Anglii. Pierwszy z ramienia Polish Relief Fund przebywał na terenie Wileńszczyzny w 1940 r., gdzie organizował pomoc humanitarną dla Polaków. W 1946 r. odbył podróż do Polski i był autorem zbioru reportaży pt. What I saw in Poland in 1946. Drugi natomiast był żołnierzem 1. Dywizji Pancерnej gen. Maczka i przeszedł z nią cały szlak bojowy. Po wojnie poświęcił się pomocy Polakom, Ukraińcom i Białorusinom.

Z czasem wiele spośród społecznych problemów uległo rozwiązaniu. Polacy znajdowali pracę, hostele opustoszały, nadszedł normalny bieg życia. Działalność towarzystw skupiła się na sprawach kulturalnych, potem zanikła. Polacy wtopili się w angielski krajobraz społeczny. O ile dość łatwo można śledzić moment pojawiania się poszczególnych Towarzystw, zwykle było to anonowane w prasie, to ich naturalnego kresu nie odnotowywano. W ciągu lat 50. większość z nich zaprzestała działalności, łącznie ze Stowarzyszeniem londyńskim.

Obecnie istnieją dwa tego typu stowarzyszenia, w Bristolu i Chester, które podtrzymują dawną tradycję dialogu między tymi, co są gospodarzami, i tymi, którzy na Wyspach znaleźli nowy dom.

REKLAMA0011520126

BURMISTRZ BYTOWA

zamieszcza wyciąg z ogłoszenia o przetargu ustnym nieograniczonym

Lp.	Nr działki	Pow. działki m²	KW SL1B/	Położenie nieruchomości	Opis nieruchomości	Przeznaczenie nieruchomości	Forma zbycia gruntu	Cena wywoławcza	Wadium w złotych
1	706	1274	24415/9	Niezabyszewo	Nieruchomość niezabudowana	Mieszkaniowe jednorodzinne	Własność	113.300,00 + VAT	15.000,00
2	184	1132	32379/3	Bytów obręb Sto pięć	Nieruchomość niezabudowana	Mieszkaniowe jednorodzinne	Własność	202.200,00 + VAT	20.000,00
3	185	1089	32379/3	Bytów obręb Sto pięć	Nieruchomość niezabudowana	Mieszkaniowe jednorodzinne	Własność	194.500,00 + VAT	20.000,00

Przetarg odbędzie się **10 czerwca 2026 roku o godz. 10:00** w Urzędzie Miejskim w Bytowie, ul. 1 Maja 15 – sala nr 101.

Szczegółowych informacji udzielają pracownicy Wydziału Mienia Komunalnego Urzędu Miejskiego w Bytowie ul. 1 Maja 15, pok. nr 108 (tel. 59 822 89 09). Pełne ogłoszenie zostało umieszczone na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Bytowie oraz na stronie internetowej www.bytow.pl i www.bip.bytow.pl.

Burmistrz Bytowa zastrzega sobie prawo odwołania lub unieważnienia przetargu.

POLSKA i ŚWIAT

POŻAR

Cały obszar pożaru jest aktualnie pod kontrolą, choć w środku niego wciąż są miejsca, które wymagają stałej interwencji strażaków – poinformował w czwartek szef MSWiA Marcin Kierwiński. Przez dwa dni akcji gaśniczej w Puszczy Solskiej wykonano z powietrza ok. 500 zrzutów – ponad 600 ton wody. Obszar pogorzeliska oceniany jest wstępnie na ok. 300 ha, ale obszar działań operacyjnych na około tysiąc hektarów.



Pokój na Ukrainie nie jest bliżej niż rok temu, a sytuacja na Bliskim Wschodzie będzie eskalować

dr Agnieszka Bryc specjalistka od stosunków międzynarodowych, Rosji i Wschodu z UMK

Ustawa o kryptowalutach. To już trzecie podejście

Dorota Kowalska
Warszawa

W Sejmie mamy dzisiaj dwa projekty ustaw mające uregulować w Polsce rynek kryptowalut. Jeden po raz trzeci złożył rząd. Drugi – prezydent Nawrocki. Wszystko w sytuacji, kiedy afera Zondacrypto zatacza coraz szersze kręgi i pojawia się w niej coraz więcej nazwisk polityków prawicy

Rząd nie zamierza odpuszczać w kwestii kryptowalut. Dwie poprzednie ustawy w tej sprawie zawetował prezydent Karol Nawrocki. Teraz do Sejmu trafiła ustawa numer trzy, niewiele różniąca się od poprzednich.

Jedyną zmianę, jaką będę proponował w tym projekcie, jest jeszcze wyraźniejsze zastrzeżenie kar dla tych, którzy

wykorzystując marzenia ludzi, czasami naiwność ludzi, czasami brak wiedzy, oszukują ich i narażają też państwo polskie, nasze bezpieczeństwo na szwank, a oszukują tych ludzi, którzy chcą zainwestować swoje oszczędności – przekazał Donald Tusk przed wtorkowym posiedzeniem rządu.

Mamy do czynienia z jedną z największych afer ostatnich lat, ale dekad. Aferą, w którą wpłątani bezpośrednio są byli i aktualny prezydent i prawicowe partie opozycji, bezpośrednio finansowani politycy z tej opozycji. Macie ostatnią szansę, żeby pokazać, że coś do was dotarło – podsumował we wtorek premier.

Wywołani do tablicy postanowili działać. Prezydent Nawrocki, już po pierwszym zawetowaniu ustawy regulującej w Polsce rynek kryptowalut za-



FOT. ADAM JANKOWSKI

Rząd Donalda Tuska złożył trzeci już projekt ustawy ws. kryptowalut

powiadał, że złoży do Sejmu swój projekt ustawy w tej sprawie, złożył go po drugim wecie.

Pan prezydent w dniu dzisiejszym złożył do marszałka Sejmu projekt ustawy o kryptowalutach, prezydencki projekt ustawy, który reguluje ten rynek – poinformował w środę szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki.

Prezydencki projekt ustawy, jak mówił Bogucki, „zasadza się na trzech zasadniczych filarach”.



FOT. ADAM JANKOWSKI

Prezydent Nawrocki złożył swój projekt „osadzony na trzech filarach”

Pierwszy to ochrona konsumentów i inwestorów. Drugi – kwestia realnego i skutecznego nadzoru państwa. Trzeci – zabezpieczenie konstytucyjnych praw przedsiębiorców, którzy działają w ramach rynku kryptowalut.

Szef KPRP podkreślił, że projekt ustawy jest wyjściem naprzeciw tym, którzy oczekują na regulację rynku kryptowalut.

Historia politycznej walki o uregulowanie, czy większą

kontrolę nad rynkiem kryptowalut, trwa w Polsce już od kilku miesięcy. Pod koniec ubiegłego roku Karol Nawrocki zawetował uchwaloną 7 listopada ustawę o rynku kryptowalut. Wtedy Zbigniew Bogucki decyzję Nawrockiego tłumaczył między innymi tym, że ustawa wprowadzała rozwiązania nadmierne, niejednoznaczne i nieproporcjonalne.

Prezes PiS, pytany wówczas przez dziennikarzy, jak jego klub zgłasza w sprawie zawetowanej ustawy, oświadczył, że posłowie będą wspierać prezydenta. Przyznał jednak, że „kryptowalutami całkowicie się nie zajmuje”.

Sejm weta prezydenta nie odrzucił. Przeciw głosowali politycy PiS i Konfederacji.

Po głosowaniu premier Donald Tusk zapowiedział szybkie złożenie nowego projektu w tej

sprawie. I tak też się stało – nowy projekt o identycznym brzmieniu, jak ten zawetowany, trafił do Sejmu i 18 grudnia ubiegłego roku został uchwalony.

W lutym tego roku prezydent Nawrocki zawetował ustawę po raz kolejny. Tłumaczył, że otrzymał do podpisu dokument praktycznie identyczny, jak ten, który wcześniej zawetował.

Głosowanie nad odrzuceniem prezydenckiego weta wyznaczono na 17 kwietnia. Sejm jednak i tym razem nie odrzucił weta prezydenta. Mimo że wszyscy posłowie wiedzieli to, o czym dzisiaj wiemy my wszyscy.

Tymczasem 17 kwietnia wszczęto śledztwo w sprawie giełdy Zondacrypto, prowadzi je Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości we Wrocławiu. PAP

MATERIAL INFORMACYJNY T-MOBILE

0011518049

T-Mobile odświeża ofertę na kartę. Atrakcyjne pakiety i niespodzianki w Magenta Moments – „Wszystko blisko”

Można być całunoblisko, dalekobliisko, momentoblisko i pysznoblisko, bo każde blisko jest fajne! Od 6 maja, wraz ze startem nowej oferty T-Mobile na kartę, rusza nowa kampania reklamowa pod hasłem „Wszystko blisko”, promująca ofertę T-Mobile na kartę oraz bonusy w Magenta Moments.

Nieważne, czy jesteś online, czy offline, zawsze możesz być blisko drugiej osoby. To wszystko możesz mieć w T-Mobile na kartę dzięki dużej paczce Internetu 9999 GB przez rok (12 x 833,25 GB) z ofertą cykliczną od 35 zł, która zapewni Ci swobodę korzystania ze smartfona oraz niespodziankom w Magenta Moments, które pozwalają na miłe spędzanie czasu razem.

Swoboda na start

Jedną z najważniejszych zmian jest podejście do samego początku korzystania z oferty. Pierwszy miesiąc za 0 zł to rozwiązanie, które niewątpliwie zachęca do spróbowania. Użytkownik nie musi już podejmować decyzji „w ciemno”, ani zastanawiać się, czy oferta będzie dla niego odpowiednia – może ją po prostu sprawdzić w praktyce.



Co ważne, nie jest to wersja testowa czy ograniczona. W ramach pierwszych 30 dni dostępne są nielimitowane rozmowy, SMS-y i MMS-y oraz pakiet internetu, który bez problemu wystarcza na codzienne potrzeby. Dopiero po tym czasie użytkownik decyduje, czy chce zostać na dłużej. To prosty, przejrzysty model, który dobrze wpisuje się w rosnącą potrzebę elastyczności.

Aktywacja Roku Internetu z 9999 GB jest możliwa z ofertą cykliczną już od 35 zł w aplikacji Mój T-Mobile. Pierwszy pakiet 833,25 GB zostanie przyznany po aktywacji usługi, a kolejne po odnowieniu oferty cyklicznej. Aby skorzystać z oferty, wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile. Gotowe!

ty cyklicznej. Aby skorzystać z oferty, wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile. Gotowe!

Internet, który nadąża za codziennością

Internet to dziś podstawowe narzędzie komunikacji i rozrywki. Korzystamy z niego w pracy, w podróży, w domu. Nawigacja, komunikatory, serwisy społecznościowe czy streaming działają w tle naszego życia.

Dlatego zwiększenie pakietów danych w odświeżonej

ofercie ma realne znaczenie. Każdy z dostępnych wariantów został wzbogacony o dodatkowe gigabajty. W ofercie cyklicznej GO! M za 35 zł klient otrzyma 50 GB internetu (w tym 20 GB po doładowaniu), w ofercie GO! L za 45 zł otrzyma 150 GB (w tym 30 GB po doładowaniu), a w opcji GO! XL za 50 zł aż 300 GB (w tym 30 GB po doładowaniu), co przekłada się na większy komfort korzystania z telefonu. Zamiast kontrolować zużycie danych, można po prostu korzystać z sieci bez stresu i bez ograniczeń.

To zmiana, która może wydawać się subtelna, ale w praktyce robi dużą różnicę. Internet przestaje być czymś, co trzeba „oszczędzać”, a zaczyna być naturalnym elementem codzienności.

9999 GB, czyli koniec liczenia – z ofertą cykliczną już od 35 zł

Jednym z najmocniejszych elementów oferty jest tzw. Rok Internetu, czyli aż 9999 GB danych (12 x 833,25 GB) do wykorzystania w skali roku. W praktyce oznacza to setki gigabajtów miesięcznie – ilość, która dla większości użytkowników eliminuje potrzebę jakiegokolwiek kontroli zużycia.

Streaming w wysokiej jakości, wideorozmowy, praca zdalna czy rozrywka online przestają być czymś, co trzeba planować. Internet jest po prostu dostępny wtedy, kiedy jest potrzebny.

Aktywacja tej opcji została maksymalnie uproszczona. Wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile.

Nie tylko usługi – także doświadczenia

Współczesne oferty telekomunikacyjne coraz częściej wychodzą poza schemat minut i gigabajtów. Użytkownicy oczekują czegoś więcej – rozwiązań, które realnie wpływają na ich codzienność.

I tutaj ważną rolę odgrywa program Magenta Moments. To przestrzeń, w której technologia spotyka się z codziennymi przyjemnościami. Użytkownicy mogą korzystać z ofert i okazji przygotowanych we współpracy z partnerami – m.in. w miejscach takich jak Pizza Hut, KFC czy Cinema City. To dodatki, które zmieniają sposób postrzegania oferty. Telefon przestaje być tylko narzędziem komunikacji, a zaczyna

ułatwiać codzienne spotkania, wyjścia, zakupy, wspólne spędzanie czasu.

Rozrywka bez ograniczeń

Uzupełnieniem oferty są korzyści związane z rozrywką cyfrową. W wybranych pakietach użytkownicy mogą skorzystać z dostępu do YouTube Premium. Brak reklam, możliwość odtwarzania w tle czy pobierania treści offline to funkcje, które znacząco podnoszą komfort korzystania z platformy. W połączeniu z dużą ilością opcji ta tworzy wyjątkowo spójną ofertę.

Koniec technologicznych wymówek

Wszystkie te elementy składają się na jedną, wyraźną zmianę. Technologia przestaje być ograniczeniem, a zaczyna funkcjonować w tle – dyskretnie, ale skutecznie. Nie wymaga planowania ani kontroli, tylko po prostu działa. I właśnie dlatego coraz trudniej mówić o „technologicznym alibi”. Bo skoro wszystko jest na wyciągnięcie ręki – szybkie, dostępne i wygodne – pozostaje już tylko skupić się na tym, co naprawdę ważne: relacjach, rozmowach i codziennych chwilach, które chcemy dzielić z innymi.

Wybory w Anglii, Szkocji i Walii: zapowiada się klęska Partii Pracy

Grzegorz Kuczyński
Londyn, Edynburg, Cardiff

Wczorajsze wybory lokalne w Anglii oraz wybory do parlamentów Szkocji i Walii mogą przypieczętować los brytyjskiego premiera Keira Starmera. Wszystkie sondaże zapowiadają porażkę rządzącej Partii Pracy.

Mieszkańcy Anglii wybierali władze w 136 jednostkach samorządu terytorialnego, czyli w około jednej trzeciej z istniejących, w tym we wszystkich gminach Londynu. Do rozdzielenia jest łącznie 5066 mandatów radnych, z czego prawie 2200 bronią labourzyści. W Szkocji do obsadzenia jest cały skład tamtejszego parlamentu, liczącego 129 posłów, podobnie jak w Walii, której parlament, Senedd, zostanie powiększony z 60 do 96 miejsc.

Większość wyników zostanie ogłoszona prawdopodobnie w piątek po południu.

Według sondaży wybory przyniosą poważne przetaso-



Premier Keir Starmer i jego małżonka Victoria w drodze do lokalu wyborczego. Czy te wybory pozbawią go stanowiska?

wania w politycznym układzie sił i dalsze potwierdzenie tego, że funkcjonujący przez dekady system z dwiema dominującymi partiami coraz bardziej staje się systemem pięcio-, a w Szkocji i Walii nawet sześciopartyjnym. Przy okazji też coraz bardziej spolaryzowa-

nym, bo zyskują głównie partie skrajne.

Anglia: populiści w natarciu

W Anglii, zgodnie z sondażami, najwięcej mandatów zdobędą prawicowo-populistyczna partia Reform UK oraz lewi-

cowo-populistyczna Partia Zielonych. Dopiero o trzecie miejsce powalczą tradycyjne ugrupowania: Partia Pracy, Partia Konserwatywna i Liberalni Demokraci, przy czym labourzystom grozi utrata nawet dwóch trzecich mandatów, których bronią, a konserwatom połowy.

Szczególnie bolesna dla Partii Pracy będzie utrata wielu mandatów w Londynie, który do niedawna wydawał się miejscem, gdzie labourzyści nie mają z kim przegrać. Jednak spora część ich wyborców, rozczarowana niespełną dwuletnimi rządami Starmera, przeniosła swoje poparcie na Partię Zielonych.

Faworyci wyborów w Szkocji i Walii

W Szkocji pewna zwycięstwa może być rządząca od 2007 r. Szkocka Partia Narodowa (SNP), a niewiadomą jest tylko to, czy uda się jej osiągnąć bezwzględna większość. Jeśli tak się stanie, SNP używać tego będzie jako argumentu na rzecz rozpisania nowego referendum w sprawie niepodległości Szkocji.

O drugie miejsce - z dużą stratą do SNP - powalczą Partia Pracy i Reform UK, co z punktu widzenia labourzystów jest słabym wynikiem, biorąc pod uwagę, że jeszcze dwa lata temu mieli oni nadzieję na odsunięcie od władzy SNP.

Jeszcze większą katastrofą dla labourzystów może być Walia, gdzie Partia Pracy wygrywała wszystkie wybory od powołania walijskiego parlamentu w 1999 roku i nieprzerwanie od tego czasu rządzi. Tymczasem, według sondaży, o zwycięstwo powalczą opowiadająca się za niepodległością partia Plaid Cymru oraz Reform UK, a labourzyści zajmą odległe trzecie miejsce.

Odsunięcie Starmera?

Spodziewane porażki labourzystów mogą jeszcze bardziej zachwiać pozycją premiera Keira Starmera. Mogą się do tego przyczynić wciąż powracające kontrowersje dotyczące wyznaczenia na ambasadora w USA Petera Mandelsona, mimo jego związków z Jeffreyem Epsteinem. Pojawiały się spekulacje w prasie, że część labourzystowskich posłów spiskuje w celu odsunięcia Starmera, a także na temat jego potencjalnych następców. PAP

Drony nad Łotwą. Prawdopodobnie ukraińskie

Grzegorz Kuczyński
Łotwa

Wczoraj wczesnym rankiem kilka bezzałogowych statków powietrznych wleciało w przestrzeń powietrzną Łotwy od strony Rosji, dwa z nich spadły. Drony prawdopodobnie zostały wystrzelone przez Ukrainę przeciwko celom w Rosji.

W czwartek około godziny 3:30 czasu lokalnego na numer 112 wpłynęło kilka zgłoszeń dotyczących możliwego pożaru w magazynie ropy w mieście Rzeżyca.

Leży on niedaleko linii kolejowej i supermarketu znanej sieci Maxima. Po przybyciu na miejsce zdarzenia strażacy stwierdzili, że nie ma otwartego ognia, ale podjęli niezbędne działania w celu schłodzenia jednego ze zbiorników.

Drony nad Łotwą

Okazało się, że w skład ropy naftowej w mieście Rzeżyca (Łot. Rezekne), położonym 40 kilometrów granicy z Rosją, uderzył dron. Nie jedyny, jaki wleciał wcześniej rano nad Łotwę. W związku z incydentem poderwano myśliwce wielona-

rodowej misji NATO Baltic Air Policing. Agencja prasowa LETA podała wcześniej, że na miejsce skierowano policję, wojsko, straż pożarną i służby ratunkowe.

Do Rzeżycy przyjechał też minister obrony. To on poinformował, że drony najprawdopodobniej są ukraińskie. W rozmowie z nadawcą publicznym LSM minister Spruds oświadczył, że „Ukraina ma pełne prawo do obrony i przeprowadzania uderzeń na cele znajdujące się na terytorium Rosji”.

Alarm dla mieszkańców

Na wniosek wojska o godz. 4:09 rozesłano na telefony komórkowe mieszkańców rejonów Ludza, Balvi i Rezekne, a o godz. 4:43 do mieszkańców samego miasta Rzeżyca, komunikat o możliwym zagrożeniu w przestrzeni powietrznej. Służby zaleciły pozostanie w domach i zamknięcie okien.

Mieszkańcy Rzeżycy opowiadali, że w nocy słyszeli przerażające dźwięki, w tym pomruk silników z nieba oraz odgłosy przypominające samoloty. Słuchać było również dźwięki podobne do wybuchów oraz błyski światła. PAP

Sekretarz stanu USA Marco Rubio przybył do Rzymu na rozmowy z papieżem i rządem Giorgii Meloni

Oprac. Alina Mazurska
Włochy/Watykan

Wczoraj rano przybył do Rzymu sekretarz stanu Stanów Zjednoczonych Marco Rubio, który tego dnia spotka się z papieżem Leonem XIV, a w piątek odbędzie rozmowy z premierem Włoch Giorgią Meloni.

O godz. 11.30 Rubio został przyjęty przez papieża Leona XIV na audiencji w Watykanie. To będzie ich drugie spotkanie. Pierwszy raz rozmawiali w dniu inauguracji pontyfikatu papieża z USA 18 maja zeszłego roku.

Do ich spotkania dojdzie w okresie bezprecedensowych napięć między Waszyngtonem a Stolicą Apostolską na tle wielu krytycznych wypowiedzi prezydenta USA Donalda Trumpa na temat Leona XIV.

Konflikt na linii papież – prezydent

Gdy Leon XIV zaapelował w kwietniu o pokój w Iranie i wezwał chrześcijan do skończenia z wojną oraz z „demonstrowaniem władzy”, prezydent Trump opublikował na platformie Truth Social



Marco Rubio wraz z małżonką przybyli wczoraj do Rzymu. W czwartek Rubio spotkał się z papieżem

wpis, w którym ocenił, że papież jest „fatalny” w polityce zagranicznej.

W opinii prof. Faggioli, profesora teologii historycznej na katolickim uniwersytecie Villanova, tego rodzaju spięcie w czasach nowożytnych nie zdarzyło się nigdy wcześniej.

Na uwagę, że Jan Paweł II także sprzeciwiał się inwazji na Irak za czasów prezydenta George’a W. Busha, profesor przypomniał, że polski papież nigdy nie poprosił amerykań-

skich wyborców o interwencję u ich przedstawicieli w Kongresie w sprawie deeskalacji wojny, jak zrobił to Leon XIV.

– Papież stał się głosem opozycji, nawet jeśli tego nie chciał. Jest dziś najbardziej widocznym przeciwnikiem Donalda Trumpa na arenie międzynarodowej – ocenił Faggioli.

W poniedziałek prezydent Trump ponownie skrytykował papieża. W wywiadzie dla The Hugh Hewitt Show amerykań-

ski prezydent stwierdził, że Leon XIV uważa za dopuszczalne posiadanie przez Iran broni nuklearnej, co zagraża wszystkim katolikom.

Jak pisał portal vaticannews.va, papież odniósł się we wtorek do tych słów i powiedział, że „Kościół od lat wypowiada się przeciwko wszelkiej broni nuklearnej” i że aby rozwiązywać dzisiejsze problemy, znacznie lepszy od wspierania przemysłu zbrojeniowego jest dialog.

Według badania opinii publicznej przeprowadzonego dla amerykańskiej stacji NBC w połowie kwietnia br. 42 proc. Amerykanów oceniło papieża Leona pozytywnie, a tylko 8 proc. negatywnie. Równocześnie 41 proc. popierało prezydenta Trumpa, przy 53 proc. postrzegających go negatywnie.

Spotkanie z premierem

Dzisiaj przed południem Marco Rubio spotka się z premierem Włoch Giorgią Meloni. Przeprowadzi też rozmowy z szefem włoskiej dyplomacji, wicepremierem Antonio Tajanem i ministrem obrony Guido Crosetto. PAP

tygodnik Regionów

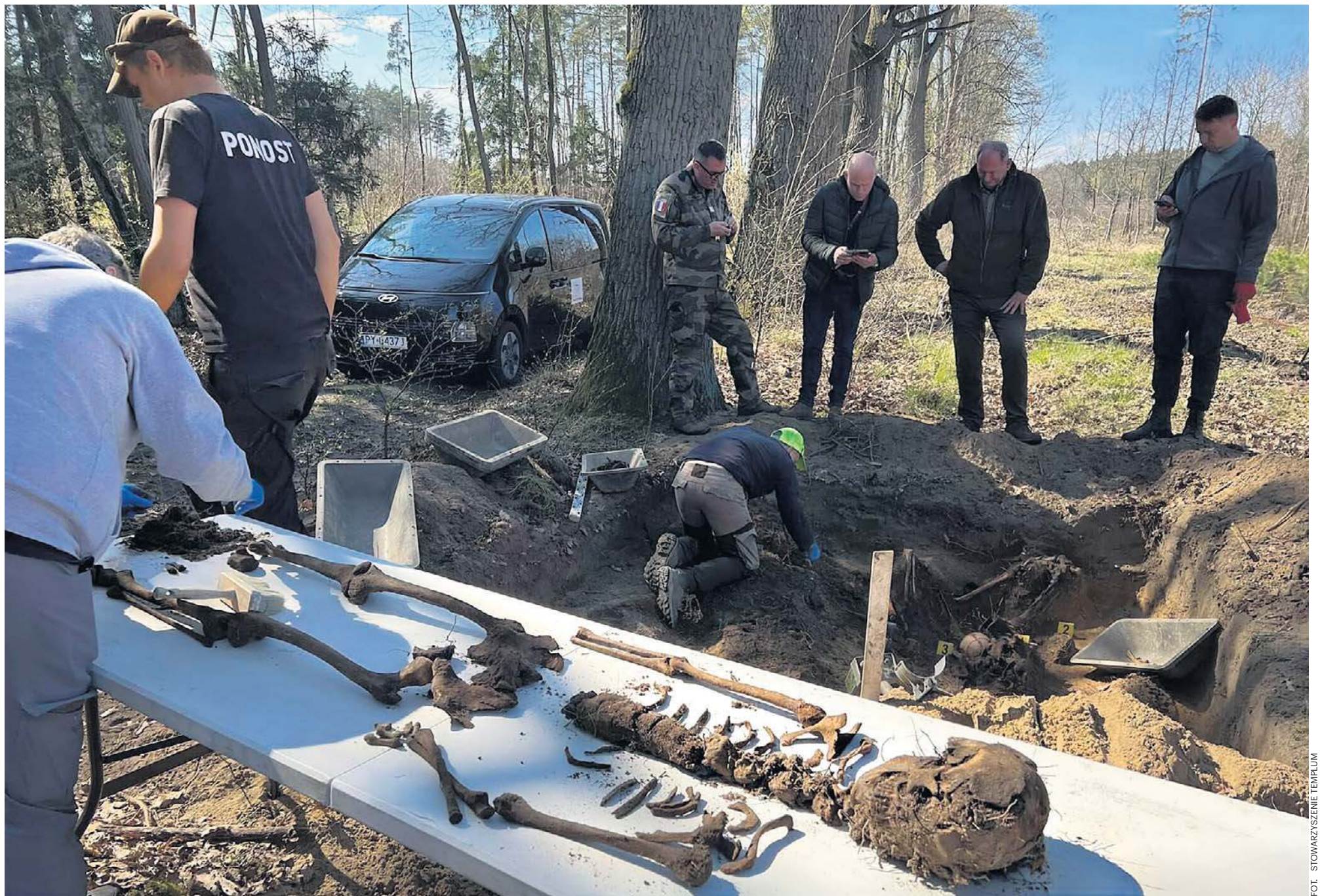
Piątek, 8.05.2026

PRZYRODA

Lipa dla Edwarda Stachury, lipa dla Juliana Tuwima i dla innych poetów. Czyli nowe drzewa w Alei Poezji w Polanowie. **str. 12 - 13**

SPOŁECZEŃSTWO

- Depresja u dzieci i młodzieży przybiera alarmujące rozmiary - przestrzega dr Anna Rogowska-Zach, psychoterapeutka. **str. 14**



FOT. STOWARZYSZENIE TEMPLUM

Od nieśmiertelnika do tożsamości. Jak odkryto tragiczne losy francuskiego jeńca

Szczątki francuskich jeńców wojennych odnaleziono w powiecie myśliborskim. Wśród nich jest Eugène Petit, którego rodzina przez dekady nie знаła miejsca jego śmierci. **str. 10-11**

Odkryto grób francuskich jeńców. Jeden z nich „wrócił” do rodziny

Marzena Sutryk
Region

Po ponad ośmiu dekadach od zakończenia II wojny światowej udało się odnaleźć i zidentyfikować szczątki francuskich jeńców wojennych w miejscowości Dyszno pod Dębem. Wśród nich znajduje się Eugène Petit, którego rodzina przez dziesięciolecia nie знаła miejsca jego śmierci.

Do przełomu doszło kilka lat temu, gdy w Dysznie natrafiono na nieoznaczoną mogiłę.

- Na mogiłę natknął się nasz kolega Piotr, który o odkryciu poinformował prezesa. Początkowo podeszliśmy do tego sceptycznie, ale pojechaliśmy na miejsce i okazało się, że w ziemi faktycznie znajduje się znak tożsamości żołnierza francuskiego Eugène Petita - relacjonują przedstawiciele stowarzyszenia Templum.

- W niewielkim dołku widoczne były również ludzkie kości żuchwy i, jak nam się wydawało, czaszka. Odkrywca mówił, że może być tam więcej szczątków - dodają.

Wśród odnalezionych przedmiotów znajdował się francuski nieśmiertelnik z napisem: „1933 / PETIT / Eug / 315 / POITIERS”. To właśnie ten ele-



FOT. STOWARZYSZENIE TEMPLUM



FOT. STOWARZYSZENIE TEMPLUM



FOT. STOWARZYSZENIE TEMPLUM



FOT. STOWARZYSZENIE TEMPLUM

FOT. STOWARZYSZENIE TEMPLUM

ment uruchomił szeroko zakrojone poszukiwania.

- Jeszcze tego samego dnia, po publikacji informacji o nieśmiertelniku, skontaktowały się z nami osoby, które pomogły odtworzyć historię Petita. W kilka godzin wiedzieliśmy o nim prawie wszystko - podkreślają członkowie Templum.

Ustalono, że Eugène Ismael Petit urodził się w 1913 roku we Francji, był żonaty i miał dwoje dzieci. Po wybuchu wojny trafił do niemieckiej niewoli i pracował jako jeńiec w majątku w Ostrowcu (do 1945 niem. Wusterwitz). Zginął 28 stycznia 1945 roku. Według ustaleń prawdopodobnie podczas wkroczenia żołnierzy Armii Czerwonej do wsi. Odkrywczy znaleźli również relację świadków. Wynika z niej, że wkraczający do wsi żołnierze Armii Czerwonej strzelali do wszystkich cywili, których napotkali po drodze, plądrowali domy, a napotkane w domach kobiety gwałcili. Nie ominęli pałacu. Śmierć ponieśli również właściciele majątku w Ostrowcu. Ludzie opisywali, że musieli się ukrywać w okolicznych lasach, a pod osłoną nocy wracali do domów szukać żywności.

Początkowo zakładano, że w mogile znajdują się szczątki dwóch Francuzów i jednej osoby cywilnej.

- Tak też myśleliśmy aż do dnia ekshumacji - przyznają przedstawiciele stowarzyszenia.

Prace ekshumacyjne przeprowadzone 17 kwietnia 2026 roku, przy udziale specjalistów z pracowni POMOST oraz PU METODIS, całkowicie zmieniły obraz sytuacji.

- Trafiliśmy na pierwsze szczątki w układzie anatomicznym, przy których znajdował

się nieśmiertelnik Petita. Wszystko wskazywało, że to on. Ale później odkryliśmy kolejne kości - opisują.

- Okazało się, że w mogile jest więcej osób, niż przypuszczaliśmy. Łącznie odnaleźliśmy pięć czaszek - dodają.

Jak relacjonują członkowie Templum, część szczątków była przemieszana.

- Wszystko wskazuje na to, że mogiła została splądrowana niedługo po wojnie. Kości były przemieszane i poprzerastane korzeniami drzew - mówią.

Eksperci nie mają wątpliwości, że ofiary zginęły w brutalny sposób.

- Znalezione kule i obrażenia kości wskazują, że byli ostrzeliwani z broni maszynowej. Możliwe, że użyto też granatów lub moździerzy. Uszkodzenia czaszek sugerują, że niektórych dobito kolbami - relacjonują.

Ustalono również, że wszyscy odnalezieni byli najprawdopodobniej francuskimi jeńcami wojennymi.

- To bardzo smutna historia, ale cieszymy się, że po latach ci żołnierze nie leżą już w anonimowej mogile - podsumowują badacze.

Rodzina czekała przez pokolenia

Najbardziej poruszający jest fakt, że syn Eugeniusza, dziś ponad 90-letni, przez całe życie nie znał losu ojca. Dzięki odkryciu wreszcie będzie mógł symbolicznie się z nim pożegnać.

- Dzięki wnukom, z którymi skontaktował się pan Parrilla ze stowarzyszenia Le Souvenir Fran, mamy dziś zdjęcie, na którym jest Eugène Petit wraz z żoną. Zdjęcie wykonano w dniu ich ślubu. Niestety, syn niewiele pamięta o ojcu. Pamięta tylko informa-



Fotografia ślubna Eugeniusza Petit. To jego nieśmiertelnik odnalezione w miejscowości Dyszno pod Dębem.

FOT. STOWARZYSZENIE TEMPLUM

cję, która dotarła do jego matki w 1945 roku. Przekazano wówczas matce, że jej mąż zginął gdzieś na terenie Niemiec. Dzięki Jérôme Parrilla udało się również ustalić, którego stalagu Francuz był jeńcem. Początkowo myśleliśmy, że

wieziono go w Stalagu DT99 STIII.CL (w Cychrach - niem. Zicher), który był filią Stalagu IIIC Alt Drewitz Kustrin, bo był najbliższym majątku. Jednak Jérôme wyprowadził nas z błędu. Okazało się, że w archiwach istnieje informacja, iż

był jeńcem Stalagu IID Kommando 2240 (Stargard) - opisują odkrywcy.

Szczątki zostały zabezpieczone i przekazane do dalszych badań. Po ich zakończeniu wszyscy żołnierze zostaną pochowani z honorami na Woj-

skowym Cmentarzu Francuskim w Gdańsku.

Wśród archiwów do dziś zachowała karta ewidencji wojskowej Eugeniusza, tzw. fiche matricule. Wynika z tego, że żołnierz był pierwotnie związany z 11. Pułkiem Kirasjerów (kawaleria), a następnie już w czasie mobilizacji trafił do jednostek transportowych armii francuskiej (Train, czyli służby logistyczne/transportowe), konkretnie do centrum mobilizacyjnego nr 23 i grupy transportowej 472.

11. Pułk Kirasjerów (11e Régiment de Cuirassiers) wchodził w skład 5. Dywizji Lekkiej Kawalerii (5e Division Légde Cavalerie). W ramach tzw. Plan Dyle dywizja ta miała prowadzić działania opóźniające w Ardenach przed nacierającą 2. Armią niemiecką. W tej operacji 11. Pułk Kirasjerów stanowił część Grupy Wschodniej dywizji.

Szlak bojowy pułku wpisuje się w kluczowe wydarzenia kampanii 1940 roku: walki w Ardenach, przełamanie pod Sedanem czy bitwa pod Abbeville.

Pułk został oficjalnie wyróżniony w rozkazie armii. Podkreślono w nim jego wyjątkową waleczność od 10 maja do 12 czerwca 1940 roku. Jednostka prowadziła ciężkie walki opóźniające w Ardenach przeciwko niemieckim siłom pancernym, następnie brała udział w działaniach nad Sommą, gdzie utrzymała pozycję mimo kontrataków. W kolejnych dniach walczyła w rejonie Haute-Bresle, odpiągając natarcia wspierane przez czołgi, a podczas odwrotu prowadziła działania opóźniające, ponosząc znaczne straty. 12 czerwca 1940 roku poległ dowódca pułku, pułkownik Labouche. ©©

Lipa dla Stachury i Tuwima. Nowe lipy w Alei Poezji w Polanowie

Marzena Sutryk
Region

Po tym, jak rok temu Nadleśnictwo Polanów utworzyło pod Polanowem Aleję Poezji, gdzie posadzono pierwsze drzewa, teraz przyszedł czas na kolejne - razem z mieszkańcami posadzono 10 lip, a nadleśniczy Jacek Todys zabrał przybyłych na „Spacer z leśnikiem”. To już była 12. wyprawa z tego cyklu, który jest świetną okazją, by poznać okoliczne lasy. Polanowskie wyprawy zawsze przyciągają liczną grupę zainteresowanych, i to nie tylko miejscowych.

Tym razem „Spacer z leśnikiem” został połączony z sadzeniem kolejnych drzew w Alei Poezji, która wiedzie od trasy na Miastko, przez las, do jeziora Modrego i dalej do Polany Łagodności.

- Rok temu drzewka były dedykowane: Władysławowi Szymborskiej, Agnieszce Osieckiej, Jerzemu Żelaznemu oraz Grzegorzowi Szafoniu, lokalnemu twórcy, który jest inicjatorem utworzenia Alei Poezji - mówi nadleśniczy Jacek Todys.

- Teraz sadzimy dalszą część Alei Poezji - cztery drzewa na początku i sześć na samym końcu, w pobliżu Polany Łagodności. Pan Grzegorz Szafoni przekonywał mnie, że poezja to także to, co widzimy oczami. Dziś sadzimy m. in. drzewo poświęcone pani Wandzie Zabrockiej z Polanowa, która tworzy poezję malując pędzlem - mówił też nadleśniczy Jacek Todys.

- Wszyscy ludzie, którzy mieszkają w naszym małym Polanowie są warci uhonorowania w tej Alei, ale ci, którzy wkładają w to dodatkowo serce i talent, to im dedykujemy sadzone tutaj drzewa - mówił Grzegorz Szafoni.

Choć trzeba wiedzieć, że wśród twórców, którym poświęcone są drzewa w polanowskiej Alei Poezji, są także nazwiska tych, którzy nie pochodzą z Polanowa, ale zdaniem organizatorów przedsięwzięcia zasługują na wyróżnienie.

W tym roku drzewka dedykowane są kolejno: Edwardowi Stachurze, Wandzie Zabrockiej z Polanowa, która tworzy pędzlem, Julianowi Tuwimowi, Marioli Oporskiej - Piepkie, która



Aleja Poezji wzbogaciła się o nowe drzewa, w tym m.in. te dedykowane Edwardowi Stachurze i Julianowi Tuwimowi



Nadleśniczy Jacek Todys zabrał przybyłych na „Spacer z leśnikiem”. To już 12 edycja tego wydarzenia

pisze oraz twórcom z różnych stron Polski - Stanisławowi Górcie (założyciel Teatru Pod Górkę w Kopkach nad Świdrem), Aleksandrze Bacińskiej, Marcinowi Kacprzykowi, Małgorzacie Lipińskiej, Wojciechowi Belonowi i Wiesławie Kwinto - Koczan. Przy każdym drzewku stała specjalna tabliczka poświęcona danemu twórcy.

Podczas „Spaceru z leśnikiem”, którego trasa wiodła po okolicach Góry Warblew-

skiej, nadleśniczy Nadleśnictwa Polanów Jacek Todys opowiadał o gospodarce leśnej i pokazywał ciekawostki przyrodnicze występujące w polanowskich lasach. Tłumaczył, jak korzystać z aplikacji mBDL (to bardzo użyteczny wirtualny Bank Danych o Lasach). Był też czas na edukacyjną grę terenową - Nadleśniczy opowiadał o starolasach, w tym o mikrosiedliskach występujących właśnie na terenie starolasów (to m. in. próchnowiska, dziuple,

huby). Po tej części uczestnicy wyprawy mieli czas na to, by znaleźć przykładowe mikrosiedliska. W nagrodę można było zdobyć piękne albumy. - Starolasy mają stanowić w kraju 2 - 2,5% ogółu zalesionego terenu, które mają być wyłączone z całkowitego użytkowania - tłumaczył nadleśniczy.

Po drodze uczestnicy spaceru mieli okazję zobaczyć m. in. ślady wilków (zostawiły odchody w kilku miejscach na drodze, tym samym znacząc

teren i potwierdzając swoją obecność w okolicach Polanowa), a także ślady dzików, które zostawiły po sobie rozkopaną ziemię na skraju lasu.

Z kolei na niejednej młodej sosnie można było zauważyć braki kory. - To ślady spałowania przez jelenie, dla których kora sosny jest przysmakiem. Przy jednorazowym spałowaniu drzewo sobie poradzi i zaleje ubytki żywicą. Natomiast nie poradzi sobie po kolejnych uszkodzeniach, nie jest w sta-

nie wówczas się zregenerować - dodał Jacek Todys.

Nadleśniczy wskazywał też na oznaczenia drzew wymalowane farbą: - Oznaczone na zielono literki „E” wskazują na te miejsca, które w ocenie leśniczego są ciekawe przyrodniczo i że podczas porządkowania drzewostanu należy je zostawić, np. z powodu występujących tu dziupli.

Był też krótki wykład o odnowieniach naturalnych, na przykładzie dęba i sosny. - Leśniczy podjął decyzję, by w tym miejscu dać możliwość rozwoju drzew pochodzących z samosiewu. - wskazywał nadleśniczy na spory obszar porośnięty przez wspomniane gatunki. - Uznaliśmy, że warto spróbować, by się przekonać, jak ten las sobie poradzi. Teraz leśniczy się modli, żeby to był rok nasienny dla dęba. Kwitnienie to dla drzewa duży wysiłek energetyczny.

Było też o szkodliwym działaniu kornika drukarza. - Zamierzając skierować to problem na cały Pomorz - mówił nadleśniczy Jacek Todys. - W konsekwencji konieczne jest usuwanie uszkodzonych drzew. W lasach możemy zauważyć zjawisko płaczących drzew. To uszkodzone drzewa bronią się zalewając żywicą rany powstałe w wyniku działania kornika - wyjaśniał Jacek Todys wskazując na pnie świerków, gdzie dokładnie było widać korytarze wydrążone przez kornika. - Na jednym drzewie może wystąpić od 1,5 tysiąca do 3 tysięcy wgrzyzień. W wielu przypadkach drzewo nie jest w stanie sobie poradzić i obumiera. Proszę sobie wyobrazić, że podczas naszych działań mających na celu trucie kornika, na powierzchnię 1,5 metra na metr plandeki, z drzewa wypadało średnio ponad tysiąc owadów.

Przy okazji można było się dowiedzieć, na czym polega przygotowanie planu urządzenia lasu: - W terenie pracuje taksator, który prowadzi szczegółowe pomiary powierzchni leśnej i na tej podstawie dokonuje szczegółowych opisów. Te dane są punktem odniesienia do przygotowania planu, który wskazuje, jak przez kolejne lata będzie realizowana gospodarka leśna na danym terenie - wyjaśniał nadleśniczy.

Spacer zwińczyło wspólne ognisko i zapowiedź kolejnej wyprawy do lasu.

FOT. MARZENA SUTRYK



Nadleśniczy Jacek Todys pokazuje korytarze wydrążone przez kornika drukarze w pniu świerka



W tym miejscu był wilk, który na drodze zostawił swoje odchody



Trasa „Spaceru z leśnikiem” wiodła po okolicach Góry Warblewskiej



Było też o tym, jak działa aplikacja mBDL (Bank Danych Leśnych)

Dziecko nie mówi o tym, co się dzieje. Ono wycina to na swoim ciele

Agnieszka Domanowska
Depresja

Depresja u dzieci i młodzieży przybiera alarmujące rozmiary. Co piąty młody Polak zmaga się z zaburzeniami psychicznymi, a najgorszym objawem są rosnące statystyki prób samobójczych - mówi o tym dr Anna Rogowska-Zach, psychoterapeutka

Depresja jest dziś ogromnym problemem w społeczeństwie. Jak wygląda skala tego zjawiska wśród dzieci i młodzieży?

Z ostatnich danych wynika, że około 20 proc. dzieci w naszym społeczeństwie cierpi na różnego rodzaju zaburzenia psychiczne, głównie depresję. Ta depresja u dzieci jest dość specyficzna, trochę inna niż u dorosłych, inaczej się objawia, a jej przyczyna często jest zupełnie inna.

To znaczny jakie są najczęstsze przyczyny zaburzeń depresyjnych u dzieci?

Główną przyczyną są tak zwane traumy rozwojowe, zaburzenia więzi. I nie chodzi tylko o okres, gdy dziecko ma już lat naście. To, że nastolatek ma dziś objawy depresyjne, najczęściej ma swój początek we wczesnych etapach rozwojowych. Pierwsze trzy lata życia dziecka są takim backgroundem radzenia sobie z życiem. I wcale w tych latach nie musi wydarzyć się coś złego, żeby dziecko w przyszłości miało trudności, ale też jak nie wydarzyło się coś dobrego, to również ma wpływ na dalsze życie.

Współcześni rodzice nie są przygotowani do wychowania dzieci?

Na pewno nie uczymy dzieci radzenia sobie z frustracją od początku, nie poświęcamy im wystarczająco dużo uwagi. Jesteśmy za wygodni, ale też jesteśmy zmęczeni. Pamiętam rodziców, którzy przyszli z nadpobudliwym dwulatkiem i cieszyli się, że on świetnie obsługuje urządzenia multimedialne. Przeróżające, ale prawdziwe! Są badania, które wskazują, że dzieci powinny dostać dostęp do mediów społecznościowych i smartfonów dopiero od 12 roku życia. A co robią rodzice? Jak dziecko się frustruje, dają mu telefon i mają spokój. Potem takie dziecko idzie do szkoły i musi

wytrzymać 45 minut w ławce, co staje się niemożliwe.

Może rodzice powinni się edukować w tym zakresie?

Na młodych rodziców spada ogromna presja - oczekiwania jak powinno wyglądać rodzicielstwo, jak powinny zachowywać się dzieci. Z każdej strony jesteśmy bombardowani wyidealizowanymi obrazami: perfekcyjne zdjęcia „instagramowych mam”, uśmiechnięte maluchy, porządek i spokój. A przecież jest jeszcze cała sfera emocjonalna, o której wciąż mówi się zbyt mało... Na oddziałach położniczych rozgrywają się prawdziwe emocjonalne dramaty. W tych pierwszych chwilach po porodzie często brakuje kogoś, kto by powiedział młodej mamie: „To, co czujesz, jest normalne”. Dlatego organizujemy warsztaty dla rodziców - by mogli usłyszeć, że to naprawdę w porządku, gdy nastolatek mówi: „Nienawidzę cię” tylko dlatego, że usłyszał od mamy lub taty słowo: „nie”. Uczymy, że stawianie granic to nie objaw złego wychowania, tylko zdrowa relacja.

Jak odróżnić, czy to już depresja, czy jeszcze „zwykłe” zachowanie nastolatka?

Warto zwrócić uwagę na tzw. nagłe załamanie „linii życia” - kiedy dziecko do tej pory rozwijało się naturalnie: miało energię, cieszyło się z codziennych aktywności, spotykało z rówieśnikami, odrabiało lekcje, było zaangażowane. I nagle, w ciągu dwóch tygodni, coś się zmienia. Dziecko nie chce wychodzić z domu, zaczyna unikać szkoły, pojawiają się objawy psychosomatyczne - bóle głowy, brzucha, ucisk w klatce piersiowej, a nawet omdlenia. Jeśli taki stan utrzymuje się przez około dwa tygodnie, to poważny sygnał ostrzegawczy. Co ważne - depresję u dzieci nie zawsze wywołują duże, traumatyczne wydarzenia. Czasem wystarczy drobne doświadczenie, które nałoży się na inne czynniki. Depresja to stan, w którym wszystko, co kiedyś sprawiało radość, przestaje cieszyć. Ale u młodych ludzi objawy depresji często wyglądają inaczej niż u dorosłych. To nie zawsze jest smutek i apatia. Czasem pojawia się nadpobudliwość, drażliwość, dziwne, powtarzające się zachowania. Może

być też „przyklejony” uśmiech, za którym kryje się napięcie i cierpienie. Te nietypowe sygnały powinny wzbudzić naszą czujność.

Nastoletniość to chyba szczególnie trudny okres rozwojowy?

Tak! My, jako dorośli, zapomnieliśmy, jak czuliśmy się w tym okresie. Chociaż w naszych czasach było inaczej. Radziliśmy sobie bardziej z frustracjami, bo też byliśmy mocno frustrowani przez rodziców. Nikt się nami tak bardzo nie zajmował, nie zwracał uwagi na każde nasze kichnięcie czy kaszlnięcie. Teraz dzieci są nadmiarowo kontrolowane w świecie rzeczywistym. Jest mnóstwo memów o tym, jak kiedyś uczono jeździć na rowerze, a jak teraz - z apteczką i karetką. Natomiast dajemy naszym dzieciom nadmiar swobody w świecie wirtualnym. Nie kontrolujemy tego, co oglądają, czego tam doświadczają, czym się traumatyzują.

Co by pani radziła rodzicom - kontrolować czy dawać swobodę?

Zdecydowanie dałabym dziecku więcej swobody - pozwolić wyjść na dwór, ubrać się, rozwalić rower, pokłócić z kolegą, przewrócić i zedrzeć kolano. Pozwolić poczuć strach, porażkę, radość. To o wiele cenniejsze niż powiedzieć: „Zimno dziś, to może zostań w domu i włóż bajkę.” Dzieci potrzebują doświadczenia świata - realnego, nie tylko tego z ekranu. Pamiętam, jak kiedyś dzieciaki całe dnie spędzały na dworze - mamy wołały z okien na obiad, a my chowaliśmy się za śmietnikiem, żeby tylko jeszcze chwilę побыć razem. Warto też pamiętać, że dzieci potrzebują naszej obecności - nawet nastolatki. To, że nastolatek trzaska drzwiami i mówi „zostaw mnie”, nie znaczy, że mamy się wycofać. On też potrzebuje bliskości, tylko już w innej formie. To wciąż nasze dziecko, choć już większe - i właśnie wtedy trzeba wyjątkowo dużo cierpliwości i uważności. Wystarczy pół godziny dziennie - bez telefonu, komputera, telewizora. Tylko my i dziecko. Taka prawdziwa, wspólna obecność. Niby niewiele, a potrafi zaspokoić głęboką potrzebę bliskości. Warto zadać sobie pytanie: czy ja naprawdę mam



Dr Anna Rogowska-Zach: U młodych ludzi to nie zawsze jest smutek i apatia. Czasem pojawia się nadpobudliwość, drażliwość, dziwne, powtarzające się zachowania

codziennie te 30 minut tylko dla niego?

Czy w szpitalu często spotykacie się z trudnymi przypadkami?

Zdecydowanie tak. Dzieci, które trafiają do nas, często niosą skutki głębokich traum, wynikających z długotrwałych zaniedbań, braku wsparcia, niezrozumienia. To dzieci, które w pewnym momencie przestały sobie radzić z rzeczywistością i własnym światem wewnętrznym. Coraz częściej mamy do czynienia z „niemą depresją” - dzieci nie mówią o tym, co czują, nie potrafią wyrazić bólu słowami, więc wycinają go na własnym ciele. To jeden z najbardziej dramatycznych sygnałów, jakie możemy odebrać - i ogromne wyzwanie dla nas jako dorosłych. Próby samobójcze, które niestety się zdarzają, często są dramatycznym wołaniem o pomoc. Czasem cierpienie przybiera formę złości, agresji, odrzucenia - dziecko krzyczy, kłóci się, nie chce niczego. Ale pod tym zachowaniem często kryje się mur bólu i bezsilności, który trudno jest dostrzec bez empatii i uważności.

Na ile to wina domu, a na ile otoczenia - szkoły, rówieśników?

Z jednej strony jest dom i może on być najwspanialszy,

najcieplejszy, najbardziej przyjazny i mogą tam być wspaniałe więzi. Z drugiej strony jest środowisko młodzieżowe, hejt, szkoła. To my, dorośli, daliśmy ciała w tej kwestii. Dzieci nie są egoistyczne. Dzieci z natury są empatyczne, rozumiejące, lubią się wspierać. Ale jeżeli pokazujemy dziecku, że ono może wszystko, że nie ma żadnych granic, to trudno później wyciągać konsekwencje. Dziecko musi znać ograniczenia, żeby czuć się bezpiecznie. Zasady w domu, ograniczenia z urządzeniami elektronicznymi, godzina wyjścia i powrotu do domu, odrabianie lekcji czy sprzątanie - to jest bardzo ważne.

Jak długo trwa proces leczenia depresji u dziecka?

Jest to bardzo indywidualne. Jeśli coś w umyśle dziecka działa się przez 10 lat, to na 10 sesjach tego nie naprawimy. My nie powiemy dziecku: „słuchaj, czuj się inaczej”. To nie zadziała. Działa, kiedy dziecko czuje się bezpiecznie z terapeutą, kiedy ma przy mierze terapeutyczne, a na to też trzeba zapracować. Najczęściej psychoterapia to około dwóch lat pracy z dzieckiem i z rodziną. Nie wykluczamy rodziców, bo rodzice są najlepszymi terapeutami dla swojego dziecka. Często pracuję tak, że mam dziecko w te-

rapii, a rodziców odsyłam do kolegi zajmującego się pracą z rodzicami. Rodzice też muszą pracować.

Czy w tej pracy zdarzają się też radosne chwile?

Zdecydowanie tak. Dzieci z naszego oddziału potrafią zaskakiwać niezwykłym poczuciem humoru i dystansem do świata - choć doświadczyły często więcej, niż powinny. Ich sposób patrzenia na rzeczywistość bywa zaskakująco dojrzały, a jednocześnie pełen lekkości. To daje siłę. Bywa, że trafia do nas dziecko po próbie samobójczej albo epizodzie agresji - i zaczynamy pracować nie tylko z nim, ale z całą rodziną. Spotkania z rodzicami często otwierają im oczy: „Naprawdę tak to wygląda? Nie mieliśmy pojęcia...” I wtedy zaczyna się zmiana. Największą radość daje nam to, że niektórzy pacjenci nie wracają. Bo to oznacza, że system rodzinny zadziałał, że coś dobrego się wydarzyło. Że miłość, która była schowana gdzieś głęboko pod warstwami lęku, frustracji i starych, rodzinnych historii - zaczyna znowu działać. Bo przecież niesiemy ze sobą nie tylko nasze emocje, ale też doświadczenia poprzednich pokoleń. I jeśli uda się choć trochę tego ciężaru zdjąć z barków dziecka - to naprawdę wielka rzecz.

Leszek Kalinowski
Zbliżenia

Katarzynę i Pawła Konsurów łączy wiele. Nie tylko małżeński węzeł. Chodzili do tego samego ogólniaka, działali w harcerstwie, dziś są nauczycielami. Mają trójkę dzieci, które są dla nich największym szczęściem. I wspólne przeżycia. Te radosne i te trudne, zakończone przeszczepem

Poznaliśmy się w ogólniaku, ale na szkolnym korytarzu nie zaiskrzyło - wspominają. Inaczej już było na jednym z harcerskich rajdów. Okazało się, że nadają na tych samych falach i nie tylko harcerstwo ich łączy.

Na studia pojechali na Ziemię Lubuską. Ona do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze, bo jak mówi, bardzo podoba się jej miasto. On? Jako że jest rok starszy, wcześniej już rozpoczął studia w Gorzowie, wybrał wychowanie fizyczne. Z czasem okazało się, że rozłąka im nie służy. - Powiedziałam mu, że jeśli znajdzie w Gorzowie studia polonistyczne, to się wtedy przenieś na północ - opowiada (w tamtym czasie w północnej stolicy województwa nie było kierunku filologia polska).

Nie było rady. Pan Paweł przeniósł się do Zielonej Góry, gdzie oprócz wcześniej obranego kierunku, zaczął studiować także zarządzanie i marketing.

I tak od 28 lat mieszkają w Zielonej Górze. I choć po jakimś czasie kupili mieszkanie w Zawadzie i stali się mieszkańcami wsi, to od 2015 - dzięki połączeniu miasta z gminą - znów ich adres to Zielona Góra.

To może mieć związek z ciążą

Oboje bardzo chcieli mieć dzieci. Ile? Tu były zdania podzielone. Pan Paweł bardzo chciał mieć syna, więc kiedy pierwsza urodziła się córka, wiadomo było, że nie może zostać jedynaczką. Przecież oni oboje także mają rodzeństwo. Jako drugi urodził się syn. A potem jeszcze na świat przyszła kolejna córka. - Byłam w pierwszej ciąży, kiedy w badaniu pojawiło się białko w moczu. Ale zbagatelizowałam to, bo lekarz mówił, że to może mieć związek właśnie z ciążą. Nikt nie uczulał na to, że trzeba temu się bliżej przyjrzeć - mówi nauczycielka. - Przy drugiej ciąży trafiłam już do nefrologa. On mnie wystraszył. Usłyszałam, że chcę zabić swoje dziecko, że umrę itd. Ale nic mnie nie bolało, to odpuściłam.

Jedyną niedogodnością, jaką odczuwała, było to, że szybciej się męczyła. Ale kto by tam na to zwracał uwagę? Przecież lat przybywa, więc i energii ubywa. Praca, dom, dzieci. Ciągłe na pełnych obrotach, to można czuć zmęczenie.

Oddał żonie nerkę. Nie była na niego uczulona



FOT. MARIUSZ KAPALA

Nie tylko mąż chciał oddać nerkę. Także i dzieci od razu stwierdziły, że pomogą mamie. I tata pani Katarzyny, choć jego, z powodu chorób współistniejących, wykluczono na wstępie

- Pewnej niedzieli jak zawsze przygotowywałam obiad. Nalewałam rosół i nagle nie byłam w stanie podnieść łyżki. Byłam przerażona. Wpadłam w panikę. Duszności, kołatanie serca. Myślałam wtedy, że umieram - wspomina.

Przyjechało pogotowie. Dostała serię zastrzyków. I lepiej się poczuła. Ale następnego dnia poszła do lekarza rodzinnego.

- Pani doktor od razu dała mi skierowanie do poradni nefrologicznej, skąd wysłano mnie na oddział szpitalny. Po wykonanej biopsji wyszło kłębuszkowe zapalenie nerek - wyjaśnia. - Kłębuszki umierają i nie ma na to lekarstwa. Dziś słychać, że istnieją jakieś programy lekowe, które spowalniają chorobę. Wtedy na ten temat nie było wiadomo. Dowiedziałam się, że trzeba obserwować. Że może długo będę w remisji, ale w końcu i tak trzeba będzie wykonać przeszczep. Dostałam leki na zmniejszenie ciśnienia, żeby nerki miały ulgę w nocy...

Ważna jest zgodność

Najgorzej było w pandemii koronawirusa. Wszyscy dobrze pamiętamy, jak było ciężko dostać się do lekarza. Wizyty odbywały się on-line. Tymczasem

właśnie wtedy parametry zaczęły się pogarszać.

- W 2023 pani doktor powiedziała, że musimy powołać się do dializy. Proponowała, żeby to była dializa otrzewnowa - opowiada Zielonogórzanka.

To domowa metoda leczenia nerkozastępczego, która oczyszcza krew z toksyn i nadmiaru wody przy użyciu naturalnej błony otrzewnej, a nie sztucznego dializatora. Płyn dializacyjny jest wprowadzany do jamy brzusznej przez cewnik, gdzie następuje wymiana substancji, a następnie usuwany (wymiana).

Pani Katarzyna przeszła specjalny kurs, zorganizowany przez Stowarzyszenie Nerka. Trzeba też było przeprowadzić zmiany w domu. Bo konieczne jest tu zachowanie pewnych rygorów higienicznych.

- Wtedy też po raz pierwszy dowiedzieliśmy się o możliwości przeszczepu wyprzedzającego. Przeczytaliśmy o tym w internecie - podkreśla pan Paweł. - Wiedzieliśmy, że mamy tę samą grupę krwi, ale musi też być zgodność tkanekowa. To nam ułatwiło nieco sprawę. Im większa zgodność, tym większa szansa, że przeszczep się uda i będzie służył długo latami.

Wyprzedzająca transplantacja nerki, czyli przeszczepienie nerki przed rozpoczęciem leczenia powtarzanymi dializami, jest obecnie uznawane za najlepszą metodę leczenia nerkozastępczego.

W rodzinie nie tylko mąż chciał oddać nerkę. Także i dzieci od razu stwierdziły, że pomogą mamie. I tata pani Katarzyny, choć jego, z powodu chorób współistniejących, wykluczono na wstępie.

Z medycznego punktu widzenia pan Paweł rodziną pani Katarzyny nie jest.

- Po badaniach okazało się, że - jak to mówią w świecie medycznym - nie jestem uczulona na męża. I zauważyła z uśmiechem kobieta.

To nie Leśna Góra

Zaproponowano im dwa ośrodki: Wrocław i Bydgoszcz. Wybrali stolicę Dolnego Śląska, bo bliżej i mają tam rodzinę.

- Ja jako dawca miałem mieć badania we Wrocławiu, a żona w Zielonej Górze - opowiada pan Paweł, a pani Kasia dodaje: - Wszystko zaczyna się od telefonu koordynatora przeszczepu. To nie jest lekarz, a pracownik medyczny. Ale podopiecznym koordynatora był Paweł, ja natomiast pozostałam pod opieką naszej poradni. I miały to być

działania równoległe. Niestety tak się nie stało. Paweł jako dawca był przygotowany, ja nie. Z powodu opóźnień trzeba było wykonywać ponowne badania. A to wszystko trwa. Polska rzeczywistość to nie serial „Na dobre i na złe”. To nieszpital w Leśnej Górze, gdzie jest zdrowy dawca, biorca i od razu wykonuje się przeszczep.

Przyszedł więc czas na dializy. I one skomplikowały sprawę.

- Do dializ miałam założony cewnik w klatkę piersiową, w sercu. Są pacjenci, którzy mają to obce ciało nawet kilka lat. W moim przypadku organizm próbował je zwalczać. Zrobiły się skrzepy, które się zrosły. Krew nie była oczyszczana. Wyniki były kiepskie - opowiada nauczycielka. - Wylewy krwi, siniaki i migreny... A ja w tym czasie normalnie pracowałam. Bywało, że dializa trwała od godziny 20 do północy, potem powrót do domu w stanie rozdygotania, a rano do pracy, do szkoły.

Rodzina dziwiła się, jak pani Katarzyna to wytrzymuje. Przecież praca w szkole dla zdrowej osoby bywa stresująca i męcząca. Znajomi mówili: Ty w ogóle nie wyglądasz na chorą.

Aż po rezonansie magnetycznym usłyszeli od lekarza:

Przeszczepiamy, bo potem okno nam się zamknie.

17 marca 2025 roku

Pani Katarzyna: - Idziemy oboje na stół. Paweł jako pierwszy, a ja kilka godzin później. Obie operacje odbyły się bez żadnych komplikacji. Teraz tylko mnóstwo leków, które też mają skutki uboczne. Kontrole, konsultacje... I pełna izolacja. Rodzice na rok zabrali psa.

Pan Paweł: - Muszę pilnować gospodarki wodnej, dużo pić, żeby ta nerka posłużyła mi jak najdłużej. Muszę unikać sportów kontaktowych, bo ryzyko kontuzji jest duże. Przez co najmniej rok nie mogę jako honorowy dawca krwi dzielić się tym, co najcenniejsze. Brakuje mi tych wizyt w Regionalnym Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa.

- Dobrze, że jesteście nauczycielami, bo mogliśmy wziąć roczne urlopy dla poratowania zdrowia. Nie przedłużaliśmy tego, we wrześniu stawialiśmy się do szkoły, by rozpocząć nowy rok - zauważają i z uśmiechem dodają: - Nerki współpracują. Budziliśmy się w nocy o tej samej porze, żeby skorzystać z toalety...

Podkreślają, że podczas tego stresującego czasu bardzo potrzebna byłaby pomoc psychologiczna. Przecież to ciągle czekanie na badania, wyniki dla psychiki jest bardzo trudne. Tymczasem ta pomoc pozostawia u nas wiele do życzenia.

Szukali dietetyka, który ustaliłby odpowiedni jadłospis. Znaleźli dopiero w Gdańsku. Przez internet. Brakuje takich specjalistów, a przecież co czwarty Polak ma problemy z nerkami.

Rekordowa liczba

Przeszczepy nerek od żywych dawców stanowią w Polsce około 5-6 procent wszystkich transplantacji nerek. Choć liczba ta jest niższa niż w wielu krajach zachodnich, rok 2025 był rekordowy dla polskiej transplantologii z łączną liczbą 2404 przeszczepień narządów.

Dawcą może być osoba bliska (spokrewniona lub związana emocjonalnie). Dopuszczalne są również przeszczepy krzyżowe (wymiana nerek między dwiema parami) oraz łańcuchowe, gdy dawca i biorca nie mogą być leczeni w ramach własnej pary z powodu niezgodności grup krwi lub tkanek.

Każdy lęg cieszy – od 40 lat walczymy o ich powrót

Szymon Paż
Natura

Uznaje się je za najszybsze ptaki świata - w locie nurkowym za ofiarę przekraczają 300 km/h, niektórzy twierdzą, że bywa i 400 km/h. O gniazdo mogą nawet walczyć z dużo większym bieliem. Poznajcie sokoły wędrowne

To właśnie one gnieźdzą się na specjalnych platformach zamontowanych na wysokich konstrukcjach w całym kraju. Ich codzienne życie można śledzić dzięki kamerom na stronie Stowarzyszenia Na Rzecz Dzikich Zwierząt Sokół (peregrinus.pl). Pasja i troska, z jakimi wielu spogląda na obraz kamer – ornitologów, miłośników przyrody, zwykłych fanów – wynika z rzadkości, jaką są sokoły wędrowne w Polsce. Ten dawniej powszechny i popularny ptak wyginął w Polsce w latach 60. Od 40 lat walczymy o jego powrót. Z coraz lepszymi efektami.

Tak reintrodukowaliśmy sokoła wędrownego w Polsce

Jak mówi Sławomir Sielicki ze Stowarzyszenia Sokół, występujące na Niżu Polskim sokoły były to dość wyjątkowy ekotyp nadrzeczny – ptaki te gnieźdzą się najchętniej w górach, na półkach skalnych. Tymczasem u nas i w sąsiednich krajach zamieszkiwały także w lasach. Były chętnie używane przez elity do polowań na inne ptaki. Dzięki temu były pod ochroną – człowiek zabijający sokoła mógł zapłacić za to życiem czy częścią ciała. Elitarność polowania z sokolami sprawiła, że gdy po II wojnie światowej populacja sokółów zaczęła drastycznie maleć, wiele osób to dostrzegło. A potem zaczęło walczyć o ich powrót do Polski.

Najważniejszą przyczyną ich wyginiecia były środki ochrony roślin typu DDT. Odkładały się w pierze w pancerzykach owadów, te były zjadane przez ptaki, na które polowały sokoły. I jak się okazało – wpływały na odkładanie wapnia w skorupkach sokolich jaj tak, że stawały się one wyjątkowo kruche i były z łatwością uszkodzone przez wysiadujące je ptaki.

Bardzo dużą rolę w reintrodukcji gatunku odegrali sokolnicy z Krakowa, Włocławka oraz Czempinia koło Poznania. Wielką pomocą służył Niemiec, doktor weterynarii, Günter Trommer, który przeprowadził się do Polski. To właśnie myśliwi-sokolnicy, wraz m.in. ze Stowarzyszeniem Sokół, zarządzali Programem Restytucji Populacji Sokola Wędrownego w Polsce. Przed nami takie programy podjęli tylko Amerykanie i Niemcy.

- Do momentu rozpoczęcia akcji byliśmy oceniani jako ci, którzy raczej wybierają pisklęta tudzież jaja z gniazd niż ci, którzy chcą sokoły wypuścić na wolność. Ale udowodniliśmy, że to nieprawda. W naszym środowisku był wielki szacunek dla tego ptaka. I ornitolodzy na pewno przekonali się do nas. Zaoferowali współpracę i jakoś to się zaczęło układać – opowiada Adam Dopierała, sokolnik z Nekli.

Po kilkunastu latach funkcjonowania programu reintrodukcji, w 1998 r. sokoły wędrowne gniazdujące na platformie zamontowanej na Pałacu Kultury i Nauki po raz pierwszy przystąpiły do lęgu. Był to pierwszy dobrze widoczny sukces programu. Dziś Stowarzyszenie Sokół prowadzi go samodzielnie. Przez lata stowarzyszenie budowało platformy

lęgowe na wysokich budynkach w całej Polsce, m.in. w Warszawie, Płocku, Włocławku, Poznaniu czy Łodzi, obraczkowało młode ptaki, wypuszczało na wolność dziesiątki rocznie – do dziś ponad 1500. Skutecznie. O ile przez lata największe sukcesy odnoszono, budując sztuczne platformy w miastach, w 2025 r. po raz pierwszy od dekad liczba młodych sokółów wędrownych urodzonych w polskich lasach oficjalnie przekroczyła liczbę urodzonych w miastach i w górach. Tymczasem pierwsze gniazdo w lasach odnotowano dopiero w 2012 r.

Dziś oficjalne statystyki mówią o ponad 100 parach sokółów w Polsce. Dla porównania jastrzębi – innych popularnych ptaków drapieżnych – jest kilkanaście tysięcy. Bielików – które w Polsce też przeżywały bardzo trudne chwile – od 1000 do 1400 par.

Jak żyją sokoły wędrowne?

Sokoły nie budują własnych gniazd. W górach gnieźdzą się na półkach skalnych, w miastach świetnie radzą sobie na stworzonych dla nich platformach. – Na takich półkach, sztucznych gniazdach w miastach są bezpieczne, bo praktycznie żadnych naturalnych wrogów tam nie mają. I czują

się tam dobrze – mówi Sławomir Sielicki z Sokola. – W lesie muszą zająć gniazdo wybudowane przez kruka, myszołowa lub bielika i tam się zadomowić. Muszą więc znaleźć najpierw to gniazdo, jeśli nie jest puste – stoczyć bój z właścicielem, żeby móc tam lęg wyprowadzić. Więc to nie jest takie proste i dlatego odbudowanie tej nadrzecznej populacji wymagało dużo wysiłku – opowiada Dopierała.

Sokoły zdolność rozrodczą uzyskują w wieku 2-3 lat, chociaż zdarzają się lęgi rocznych ptaków, dożywają zazwyczaj 15-18 lat, w wyjątkowych przypadkach nawet 20. Jak mówi Sielicki, niemal zawsze w lęgu pojawiają się 4 jaja, rzadziej 3 lub 5. W większości młode wylęgają się ze wszystkim – im bardziej doświadczona para, tym łatwiej to idzie. Po około 5-6 tygodniach od wyklucia młode sokoły są gotowe do samodzielnego lotu. Początkowo pozostają z rodzicami, od których uczą się polować, z czasem odlatują „na swoje”. – Niektóre ptaki faktycznie pozostają w okolicy gniazda nawet do wiosny i zdarza się w kolejnym sezonie lęgowym nawet trochę pomagają w inkubacji następnych młodych. Dopóki one mają upierzenie juwenalne, czyli pierwszoroczne, to nie są przez rodziców przeganiane –

opowiada Sielicki. Młode różnią się ubarwieniem od dorosłych. Dorosłe ptaki mają pióra wierzchnie w kolorze stalowym, a na piersi i brzuchu białe lub kremowe upierzenie z poprzecznymi prążkami. Młode ptaki są praktycznie całe brązowe, a na brzuchu i na piersi pionowe łezki.

Jak polują sokoły wędrowne?

Sokoły wędrowne to ornitofagi – polują wyłącznie na ptaki i wyłącznie w locie. – Krąży wysoko i szuka potencjalnej ofiary. Mając wzrok osiem razy lepszy niż my, widzi i kalkuluje. Jeżeli droga lotu potencjalnej ofiary akurat jest w jego zasięgu, to pikuje z ogromną prędkością, przekraczającą 300 km/h i uderza w powietrze – opowiada Dopierała.

Poluje w zasadzie na wszystkie ptaki, które nie są od niego wyraźnie większe. W miastach w szczególności na gołębie. Uderzając z wielką prędkością w plecy, głowę czy szyję, zazwyczaj zabija uderzeniem. Raczniej nie strąca ofiar na ziemię, chwytając je w powietrze. Jeśli ofiara nie zginie od uderzenia, np. dlatego, że sokół złapie ofiarę w locie poziomym, to złapanym w szpony ptakom dziobem łamie kręgi szyjne. Czasem jednak sokół musi stoczyć na ziemi walkę z ofiarą.

Tak bywa w przypadku polowań z sokolami. – Gdy doświadczony ptak łowny, jak mówimy ćwik, precyzyjnie uderzy lecącego bażanta, to albo już po samym uderzeniu traci on życie, albo jest na tyle oszołomiony, że jak spadnie na ziemię, to sokół nie musi podejmować strasznej walki, żeby go uśmiercić.

Kto i co zagraża sokolom?

Jako dość duże ptaki drapieżne sokoły nie mają wielu naturalnych wrogów. Gniazdując wysoko, nie muszą za bardzo troszczyć się o drapieżców na ziemi. W locie inne duże drapieżne ptaki nie mogą im dorównać, choć to nie znaczy, że nie będą im utrudniać życia – sokolej konkurencji nie lubią przede wszystkim bieliki. Sokoły mogą jednak paść ofiarą innych ptaków w gniazdach. Adam Dopierała wskazuje na jastrzębie, jako te, które mogą wykradać z gniazda młode. Sławomir Sielicki wskazuje zaś na polujące nocą puchacz. Może też dać się im we znaki sroga zima – coraz częściej pozostają w Polsce w tym czasie, daje się we znaki ptasia grypa. Zdarza się też, że sokół ucierpi w walce o gniazdo z innym sokolem.

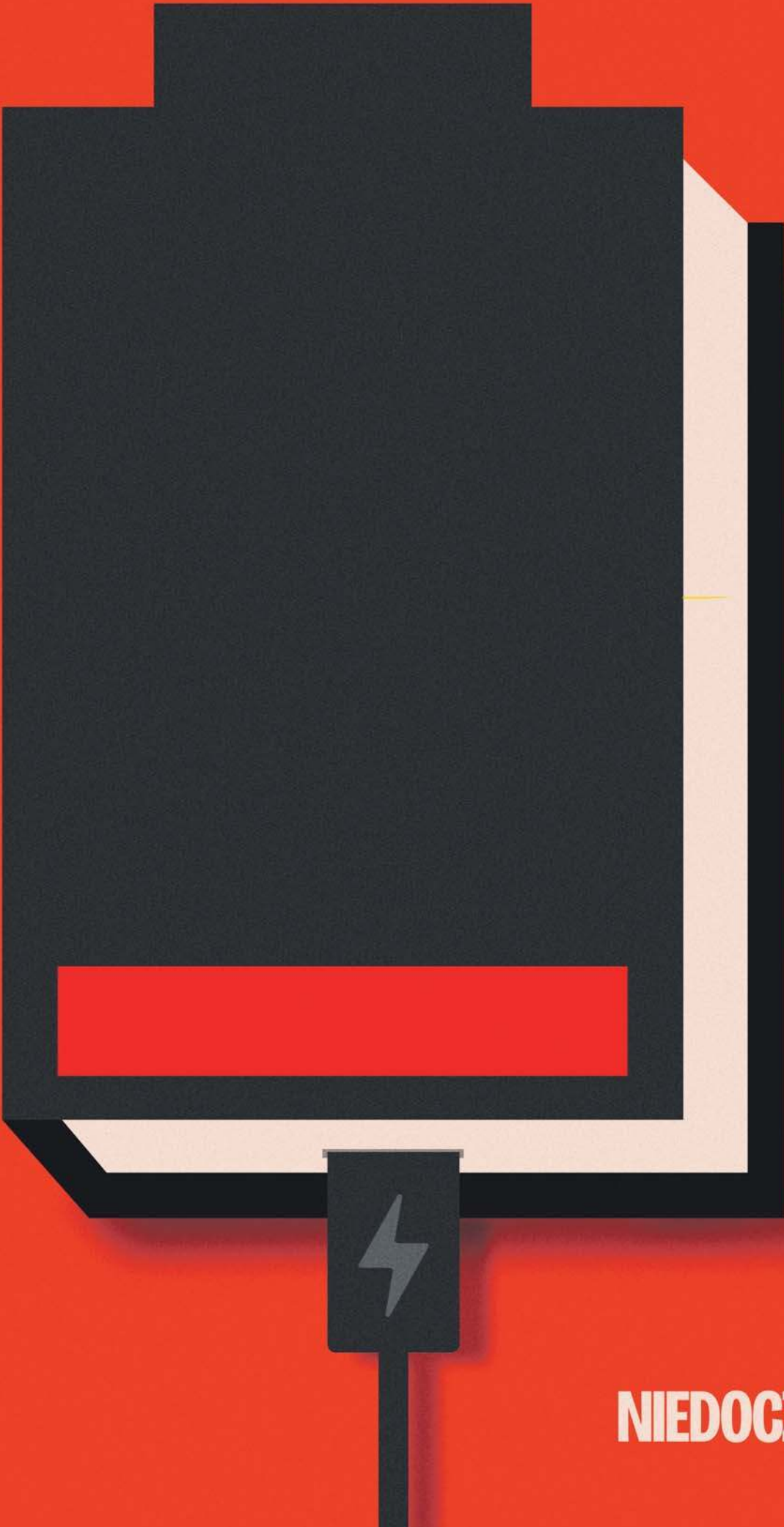
Największym wrogiem sokoła pozostaje jednak człowiek. W przeszłości wykradano jaja z gniazd, by wychować ptaki na łowne. Dziś to już się nie zdarza. Sokoły pozostają jednak w konflikcie z hodowcami gołębi.

- Sokół wędrowny jest oportunistą, czyli poluje na to, co mu najłatwiej złapać, czego jest najwięcej. Najwięcej jest, stety czy niestety, gołębi pocztowych, skalnych, miejskich. Ci, którzy hodują gołębie i którym sokół złapie gołębia, są niestety niepokieszeni i niestety w wielu miejscach intensywnie trują sokoły – opowiada Sławomir Sielicki z Sokola. – Mogę częściowo zrozumieć hodowcę gołębi, który całe życie je pielęgnuje, odchowuje, dba o nie tak, jak my o nasze sokoły, albo jeszcze dłużej, jeszcze bardziej. To też jest kosztowne hobby. Puszczając na lot, wraca ten jego piękny gołąb i widzi, jak go łapie sokół. On tego sokoła... Trzeba mieć naprawdę ogromną wiedzę przyrodniczą i wielkie serce, by to zaakceptować – dodaje sokolnik Adam Dopierała.



Po niemal 40 latach prowadzenia programu reintrodukcji dziś w Polsce mamy ponad 100 par sokółów wędrownych. Dla porównania bielików jest 1100–1400 par

PULS
#215



NASZE
NIEDOCZYTANIE

Arlena Sokalska

KONSTYTUCYJNA
ZAGRYWKA

Prezydent Nawrocki w dniu święta konstytucji grzmiał o oddawaniu władzy narodowi, w domyśle jemu samemu, bo to on uzyskał od narodu mandat w wyborach powszechnych. Z tym mandatem nie przesadzałabym w przypadku głowy państwa. Bo podobny mandat uzyskała w powszechnych wyborach rządząca koalicja. Przy trochę wyższej frekwencji (dodajmy - rekordowej). A i prezydent Nawrocki swój mandat uzyskał przewagą niesłuchanie małą. Co oznacza, że tych pozostałych 10 milionów wyborców wcale tym mandatem obdarzyć go nie chciało.

Ale według prezydenta nastał w tych okolicznościach „moment konstytucyjny”, który oznacza, że za zmianę konstytucji brać się należy. I powołał radę, która pewnie raz na jakiś czas zbierać się będzie. Tyle tylko że żadnego „momentu konstytucyjnego” nie ma - bo nie ma większości konstytucyjnej, pozwalającej zmienić ustawę zasadniczą. I dziś wszystko wskazuje na to, że po następnych wyborach parlamentarnych takiej większości też nie będzie.

Po co więc prezydent grzmi o konieczności zmian konstytucji? Bo - tu cytuję - „Tak dalej być nie może, że władza w Polsce rozkłada się na dwa ośrodki”. Owszem, mieliśmy różne konflikty na linii prezydent-premier. Zaczęło się od „szorstkiej przyjaźni” między premierem Leszkiem Millerem a prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim, a potem było jeszcze gorzej. A teraz jest otwarta wojna.

Dlaczego? Bo prezydent nie skupia się na niczym innym, jak rzucaniu kłód pod nogi rządowi i wetowaniu wszystkiego - łącznie z ustawą o SAFE, czy kryptowalutach (dwukrotnie). Rozumiem, kiedy prezydent wetuje ustawę, dzięki której bezdzietne małżeństwo mogłoby zakończyć formalny związek bez konieczności stawienia się w sądzie. Takie prezydent ma poglądy, trudno. Ale wetowanie ustaw dotyczących kwestii obronności Polski czy odporności na szachrajstwa rynku kryptowalut?

Do tego dochodzi retoryka prezydenta, bo wciąż mówi o premierze Tusku jako „najgorszym premierze w historii”. Nawet jeśli tak uważa, powinien owe myśli zachować dla siebie - właśnie w myśl tego, co jest istotą konstytucji z 1997 r., zakładającej pewną równowagę między ośrodkami władzy, choćby przez próbę nawiązania „szorstkiej przyjaźni” i jakiegoś rodzaju trudnej współpracy jak z kadencji Andrzeja Dudy.

Tak, twórcy obowiązującej konstytucji (która pisana była ładnych parę lat) najpierw ograniczali prawa prezydenta, bo był nim Lech Wałęsa, a potem je zwiększali, bo został nim Aleksander Kwaśniewski.

A ja jestem za systemem kanclerskim. Najlepiej byłoby, gdyby w Polsce nie było prezydenta wybieranego przez Polaków w wyborach powszechnych, powinno to robić Zgromadzenie Narodowe. Wymagałoby to też politycznego wysiłku, bo musiałby to być polityk kompromisu, na którego zechciałoby głosować 2/3 posłów i senatorów. Byłaby to ciekawa figura polityczna - rodzaj autorytetu, który reprezentowałby Polskę za granicą.

Ale nic takiego się nie zdarzy za mojego życia, bo żaden - ani obecny, ani przyszły - prezydent nie podpisałby ustawy, która kończyłaby jego kadencję.

A tak na koniec. Po co prezydentowi Nawrockiemu wyciąganie sprawy zmiany konstytucji? Bo będzie to jeden z tematów jego kampanii wyborczej w 2030 r., a i pewnie tych parlamentarnych w 2027. Szykujemy się na ostrą polityczną nawałankę.

Adam Bula

FINAŁ SEZONU PRAWYCH
FIKOŁKÓW

Ale wiecie, że za chwilę skończą się premierowe odcinki najpopularniejszych dziś polskich seriali z uniwersum, gdzie „Pierwsza miłość” jest „Na dobre i na złe”, bo różne są „Barwy szczęścia”, gdy gra się w „M jak miłość”. Dokładnie tak jest w naszym uniwersum politycznym, gdzie czekają nas finały sezonów seriali pt. „SAFE jest w pustym sejfie”, OZE jest sroze” a „Zondacrypto jest ok”.

Na miejscu scenarzystów, szykujących się na zapadające widzom w pamięć zakończenia, brałbym jednak pod uwagę pewną nową okoliczność. Mianowicie, hitem tego sezonu była krótka, puszczana zaledwie przez 9 dni telenowela pt.: „Streaming Łatwoganga na rzecz dzieci chorych na raka”. Otóż wyróżniała się ona tym, że ... nic w niej nie było udawane. W absolutnej kontrze do świata wyobrazonego polskich seriali telewizyjnych i politycznych. Serialowa Hanka Mostowiak (Małgorzata Kożuchowska) przeżyła w ciasnej kawalerce Łatwoganga centralne zderzenie ze stosem kartonów i można tę scenę traktować jako ikoniczny symbol przepaści między światami.

Śledząc zaś fabuły politycznych seriali mam wrażenie, że ich scenarzyści wiedzą już, że przeszarżowali z nierealnymi zwrotami akcji, ale - z braku lepszego pomysłu - chcą na wariata dociągnąć to do końca. „Seriali lub widzów” - że się podeprę prezydentem podpierającym się cytatem z ubeka.

Jak to więc będzie wyglądać? Weźmy szefa prezydenckiej kancelarii, Zbigniewa Boguckiego, który w tym sezonie zyskał sławę pierwszego harcownika prawicy, wykorzystując sejmową mównicę do ostrego atakowania rządu i premiera. Słucham jego ostatnich wystąpień i widzę w jego oczach, że on już nie tylko wie, że ostro bredzi. On już wie, że my wiemy, że on bredzi, tylko jeszcze nie ma u nas kultury, by ktoś przytomny krzyknął z tłumy: hej gościu, jesteś nagi i strasznie prdl.

W każdym razie może i polska prawica brała bezpośrednio lub korzystała pośrednio, z Karolem Nawrockim na czele, z kasy od kryptoaferzysty z firmy Zondacrypto, ale podwójne wet

ustawy, dającej szansę na walkę z kryptooszustami nie miało z tym coś wspólnego. W dodatku pierwsze weto prezydenta było zanim się on od rządu w grudniu dowiedział, że z Zondacrypto jest coś nie tak. Skąd było drugie weto na wiosnę? Bo ustawa była za długa, mając ponad 100 stron zbyt szczegółowych dla branży krypto przepisów.

Że prezydent po pierwszym wiecie miał złożyć „w ciągu kilku dni” swój projekt ustawy? No to przecież go złożył, tyle że wczoraj (6 maja). Że ta ustawa ma też ponad 100 stron, bo jest po prostu przepisana z tej wetowanej i tylko dodano dwa nowe przepisy (na korzyść ewentualnych oszustów zresztą) - no i po ... drażyć. Kartony nie kartony, musi wyjść na nasze.

Hitem sezonu pozostaną jednak fikołki przyszłego premiera z własną instalacją fotowoltaiczną: bo i temat łatwiejszy i w sumie sprawa nie tak poważna. „OZE-sroze jest złe”, więc Przemysław Czarnek zdemontuje ze swojego domu panele, jak się okazało, że kiedyś je założył. Bo się wtedy z tego nie cieszył, a w dodatku dom nie jest jego. W ogóle to je założył, bo prąd ciągle drożał (w końcu to było w 6. roku rządów PiS, ale on był wtedy na „innym odcinku”). A teraz jednak ich nie zdejmie, bo prąd znowu jest coraz droższy, więc je zdejmie, jak będzie tańszy, czyli jak znów będzie rządził PiS, przez którego rządy je założył. Nie zdejmie ich, choć „się słyszy”, że są one bardzo niebezpieczne. Bo w ogóle sprawa dotyczy tylko takich jak on, których na panele było stać, choć w sumie to nas było stać, bo Czarnek skorzystał z unijnego dofinansowania i zapłacił tylko 8 tys. zamiast ponad 20. W finałowej scenie i tak wybrzmi jednak ostatnie zdanie bohatera, że „Unia jest zła”.

To tylko rozgrzewki przed czekającym nas już w najbliższy weekend finałem serialu „SAFE 0 %”. Rząd podpisze umowę na miliardy z Unii dla armii, i „zaadłży nas na pokolenia”, bo jak PiS zaadłżył nas z tej samej okazji wcześniej na 400 mld, to się nie liczy. I nieprawda, że tamte pożyczki były na gorszych warunkach, zwłaszcza że wtedy wcale nie padało.

Ale najgorsze jest to, że Tusk zdradza Amerykę i nie chce u niej kupować uzbrojenia, tylko da tę całą kasę Niemcom, a że nic u nich jeszcze nie zamówił, to wiadomo, że to jest spisek.

No bo czego wy właściwie nie rozmicie? Te fabuły są dla widzów, którzy nie mieli nigdy problemów z tym, że Hanka Mostowiak zginęła w zderzeniu Mazdy 626 ze stosem kartonów...

W polskim interesie jest, żeby amerykańskich żołnierzy w Europie było jak najwięcej, a najlepiej w Polsce.
(...) I my nie wnikamy skąd ci amerykańscy żołnierze mieliby przybyć. W Polsce będą mile widziani.
(...) Zapraszamy ich tu, gdzie jest prawdziwe zagrożenie, 250 km stąd

FOTOkomentarz tygodnia



sekc. Arkadiusz Sosnowski | Państwowa Straż Pożarna

6 MAJA,
BIŁGORAJ

Potężny pożar spustoszył 500 ha lasu w powiecie biłgorajskim. Do jego ratowania skierowano niemal 500 strażaków, wspierały ich wozy, a także śmigłowce i samoloty gaśnicze. Jeden z używanych dromaderów rozbił się w trakcie akcji. Na miejscu pojawił się premier Donald Tusk oraz minister spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński. Pożar może być konsekwencją pogody. Jak podkreślają eksperci, mamy jedną z najbardziej suchych wiosen po II wojnie światowej. Niska wilgotność powietrza sprawia, że o pożar łatwiej niż zwykle

FOT. PAP/PS/PML. KPT. DOMINIK RYBA



6 MAJA, HOLANDIA. Potwierdzono, że trzech pasażerów wycieczkowca MV Hondius zmarło w wyniku infekcji hantawirusem. Natychmiast zaczęto śledzić ruchy innych pasażerów. A na świecie po raz kolejny pojawiła się obawa przed powrotem sytuacji sprzed kilku lat: pandemii i kwarantanny

FOT. PAP/EP/ELTON MONTEIRO



6 MAJA, WARSZAWA. Sławomir Mentzen ostro zaatakował szefa Sztabu Generalnego gen. Kukułę, mówiąc, że „nie ma kompetencji, żeby być kapralem”. Po stronie zaatakowanego stanęli prezydent oraz szef MON

FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK



4 MAJA, POLSKA. Praktycznie każdy ma własne wspomnienia z takich chwil jak widoczna na zdjęciu. Różnie się mówi o poziomie matur - ale gdy się ją zdaje, zawsze jest najtrudniejszym egzaminem życia

FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

Aby zmienić postrzeganie czytania przez społeczeństwo i decydentów, Fundacja Powszechnego Czytania zorganizowała w Warszawie konferencję Literacy for Democracy. Co takiego się stało, że czytanie przestaje być tylko miłym, dobrym nawykiem, a staje się sprawą strategiczną?

To bardzo dobre pytanie. Jak mówi Maryanne Wolf, profesorka neuronauki i znana amerykańska badaczka mózgu czytającego, jeśli nie będziemy dbali o to, co ona nazywa głębokim czytaniem, czyli o linearne, długie czytanie książek, zatracimy umiejętności, które sprawiły, że jako cywilizacja stworzyliśmy demokrację. To jedno. Druga odpowiedź pojawia się w słynnym Ljubljana Manifesto on Higher-Level Reading, czyli manifestie czytelnictwa z Lublany. Jego autorzy, badacze czytania i neuronaukowcy, mówią o tym w kontekście rozwoju sztucznej inteligencji. Zwracają uwagę, że musimy ćwiczyć mózgi, żeby radzić sobie w świecie, w którym coraz ważniejsza staje się umiejętność oceny treści. Łączą to z zalewem dezinformacji, z potrzebą budowania krytycznego myślenia, innowacyjności, kompetencji komunikacyjnych, rozmowy i współpracy z innymi. I pokazują, że czytanie właśnie to nam daje. Myślę, że ważnym elementem tej rozmowy jest świadomość, że czytanie, podobnie jak ruch fizyczny, jest strategicznym elementem dobrostanu społecznego. Dziś już wszyscy wiemy, że nie da się dobrze funkcjonować bez ruchu. Wiedzą to rodzice, szkoła, samorządy inwestujące w parki i siłownie plenerowe, wie to także biznes, który wspiera aktywność pracowników przez karty sportowe. A przecież sport pozostaje czynnością prywatną. Nikt nie może nas zmusić do biegania, pływania czy chodzenia po górach. Firma może dać kartę, burmistrz może zbudować siłownię w parku, ale decyzja nadal należy do nas. Z czytaniem jest podobnie. Ono powinno pozostać prywatną przyjemnością, prywatnym wyborem, naszym nawykiem. A jednocześnie powinniśmy rozumieć, jak bardzo jest strategicznie ważne. Nie uważam, żeby jedno przeczyło drugiemu.

Można rzec, że demokracja zaczyna się wcześniej niż przy urnie wyborczej, bo w domu, w pierwszych kontaktach dziecka z językiem? Można tak to ująć i bardzo mi się to ujęcie podoba. Kiedy mówimy o pierwszych latach życia dziecka, dotykamy sfery pediatrycznej i psychologicznej. Oczywiście neuronau-

– Prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Groźniejsze jest to, że czytanie zostanie przywilejem wąskiej warstwy, która będzie budować koncentrację i kompetencje, a duża część społeczeństwa nie zobaczy przyjemności ani w lekturze, ani w poruszaniu własnego mózgu – mówi Maria Deskur, prezeska Fundacji Powszechnego Czytania

Anita Czapryn



Maria Deskur: Dziś w Polsce mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana

MARIA DESKUR: BEZ CZYTANIA MOŻEMY SIĘ CYWILIZACYJNIE COFNAĆ

kowcy także się tym zajmują, ale bardzo mocno mówią o tym również pediatrzy. Na naszej konferencji pojawi się Dana Suskind z Chicago, profesorka pediatrii i chirurgii, która dużo mówi o bogactwie językowym. Nie zajmuję się czytaniem w wąskim sensie, mówi raczej o tym, że dziecko musi być otoczone słowami, bogactwem słownictwa, językiem. A to oczy-

wicie łączy się z książką, bo książka jest jednym z najlepszych narzędzi tworzenia zdrowego środowiska rozwojowego dla dziecka. Daje różnorodność słów, bogactwo języka i pojęć. Suskind mówi też o podmiotowości małego człowieka, o budowaniu jego mózgu, o namnażaniu się synaps. To jest opowieść o tym, że powinniśmy od samego początku upodmiotawiać

dzieci. Sprawiać, żeby pannały nad językiem, którym się posługują. Żeby miały narzędzia do wyrażania siebie, opisywania swoich emocji, potrzeb, myśli. Żeby mogły dochodzić do własnych wniosków. I to rzeczywiście jest budowanie, od urodzenia, świadomych uczestników demokracji. Najpierw małych ludzi, potem coraz większych, a w końcu nas wszyst-

kich jako wspólnoty. Pomagamy nam to na wielu poziomach. Wspominałam o nowych technologiach i dezinformacji, ale lekarze zwracają też uwagę na stabilizację emocji. Czytanie i język pomagają również w rozwoju poznawczym mózgu, w namnażaniu się synaps, w rozwoju struktur, które później pozwalają dziecku wybrać swoją drogę, zawód, kierunek życia. Mówię

więcej najprościej: jeśli mózg jest dobrze rozwinięty, człowiek może pójść w bardzo różne strony i dokonać bardziej autonomicznego wyboru. Ale to także rozmowa o odporności. Dziś odmieniamy to słowo przez wszystkie przypadki: odporność psychiczna, emocjonalna, społeczna, asertywność. A odporność społeczności bierze się między innymi z tego, że potrafimy się komunikować, umiemy coś razem wypracować, razem działać. W tym sensie wszystkie wielkie wyzwania współczesności skupiają się jak w soczewce w pytaniu o czytanie. Powiedziałabym, że chodzi o to, jak użyć czytania jako narzędzia do mierzenia się z wyzwaniami współczesności.

Jakie dzieci wychowujemy, jeśli od pierwszych lat oddajemy ich uwagę ekranom, a nie językowi i rozmowie? Dziś telefony komórkowe montowane są nawet w wózkach, żeby dziecko podczas spaceru mogło oglądać bajkę. Daleka jestem od oskarżania rodziców, bo wielu robi to zupełnie nieświadomie. Ale fakt jest faktem: mamy dziś dużo badań pokazujących, że małe dziecko do rozwoju mózgu, koncentracji, stabilności i pewności siebie potrzebuje kontaktu z drugim człowiekiem, a nie z ekranem. Ekran oczywiście dziecko cieszy. I to jest pułapka. Coś się rusza, coś miga, można kliknąć. Ekran kradnie uwagę, bo wymaga od mózgu mniejszego wysiłku niż rozmowa, zabawa, obserwowanie świata. A do rozwoju potrzebujemy wysiłku. Wróć do porównania ze sportem. Żeby się ruszać, trzeba wstać z kanapy. Ale jeśli dziecko dużo biega, nie postrzega tego jako obowiązku. Dla niego to zabawa. Ktoś mu pokazał, że bieganie, kopanie piłki, spacer, chodzenie po górach czy ruch w parku są fajne. Przy dużym wysiłku, jak udział w maratonie, wydziela się dopamina. To ogromny wysiłek dla ciała, a jednak dziesiątki, setki tysięcy ludzi biorą udział w maratonach, bo sprawia im to przyjemność. Z czytaniem jest podobnie. Scrollowanie to pasywna aktywność, to symboliczne siedzenie na kanapie. Wiele osób to lubi, ale to nie znaczy, że jest to dla nich dobre. Jeśli komuś nie pokazano, że ruch może być przyjemnością, łatwo wejdzie w tryb życia, który z medycznego punktu widzenia nie jest najlepszy. Podobnie jest z ekranami. Z punktu widzenia rozwoju małych dzieci bardzo wcześnie dawanie im ekranów nie pomaga. Dziecko powinno czasem trochę się ponudzić, obserwować przyrodę, a przede wszystkim być w re-

lacji z drugim człowiekiem. Oczywiście to oznacza wysiłek rodzica. Zdaję sobie sprawę, że płaczące dziecko najłatwiej uciszyć telefonem. Ale powinniśmy chcieć zrozumieć, o co mu chodzi, nawet jeśli jeszcze nie mówi. Wziąć je na ręce, sprawdzić, czy coś mu się nie stało, czy nie jest głodne, czy czegoś nie potrzebuje. A kiedy jest starsze - to wchodzić z nim w interakcję. Dom jest pierwszą przestrzenią ćwiczenia relacji społecznych. Dziecko potrzebuje rozmowy, bliskości, obecności. Potrzebuje czasem pokłócić się z rodzicem, postawić mu się, zobaczyć, że rodzic na coś się zgadza, a na coś nie. Że jest reakcja. Że coś jest dobre, a coś niedobre. Że nóż jest niebezpieczny, a łyżka bezpieczniejsza. To milion codziennych sytuacji, z których jako dorośli często nie zdajemy sobie sprawy. Dla rodzica to mogą być rozmowy pozornie trywialne: o tym, co wydarzyło się w parku, w przedszkolu, w książce; że wilk zrobił coś złego, a inny bohater coś dobrego. Ale właśnie to jest przygotowanie do życia. Dziecko potrzebuje tych rozmów, bliskości, obecności i czasu. Rozumiem, że jesteśmy zmęczonymi, zabieganymi rodzicami. Ale nadmiar ekranów jest dla dziecka po prostu bardzo niedobry.

Dzisiaj dzieci bardzo szybko uczą się obsługi nowoczesnych urządzeń. Znacznie wolniej uczą się cierpliwości, skupienia uwagi. Co dobrego daje czytanie? Dlaczego Fundacja Powszechnego Czytania tak mocno apeluje właśnie o czytanie?

Mam poczucie, że jako cywilizacja wykonaliśmy ogromną pracę w bardzo dobrym kierunku: udostępniania wiedzy wszystkim. Obowiązkowa edukacja była miłowym krokiem. Cała populacja została włączona w edukację, możliwości rozwojowe, w obniżenie równych szans. Telefon komórkowy również może być genialnie demokratycznym narzędziem. Każdy z nas ma, przy najmniej teoretycznie, dostęp do wszelkiej wiedzy. Ale jeśli jako społeczeństwo nie nauczymy się używać tego narzędzia tak, żeby nam sprzyjało, a nie obniżało nasz potencjał, na drodze ku równym szansom możemy się zatrzymać albo nawet cofnąć. Marzeniem cywilizacyjnym jest przecież to, żeby każde dziecko dostawało publiczną edukację i miało szansę zostać tym, kim zechce. To niezwyczajne, że żyjemy w takim miejscu świata, w którym możemy w ogóle o tym rozmawiać. Jeśli pozwolimy, żeby telefon zamiast stać się kolejnym narzędziem demo-

kratyzacji, stał się narzędziem pogłębiania różnic w wykształceniu, to będzie bardzo złe. Widać już pewien paradoks. Ludzie z Doliny Krzemowej, twórcy największych firm technologicznych i mediów społecznościowych, wysyłają własne dzieci do szkół, w których technologii prawie nie ma albo nie ma jej wcale. Bo wiedzą, jak bardzo media społecznościowe uzależniają. Sami je stworzyli. Myślę więc, że prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Niebezpieczeństwo polega raczej na tym, że pozostanie wąska warstwa, która nadal będzie czytać, budować koncentrację i kompetencje rozwijane przez czytanie, a duża część społeczeństwa nie będzie poświęcała czasu ani na ruch fizyczny, ani na poruszanie własnego mózgu. I, co również ważne, nie zobaczy przyjemności ani w jednym, ani w drugim. Prawdziwe wyzwanie cywilizacyjne brzmi więc: jak sprawić, żeby przyjemność ruchu fizycznego i przyjemność czytania stały się powszechne? Wracając do pani pytania, dlaczego czytanie jest tak istotne: dzięki niemu możemy stawać się tym, kim chcemy. Czytanie buduje nasze mózgi. I to w każdym aspekcie, bo mózg to nie tylko wiedza. To także umiejętność łączenia faktów, rozumienia związków przyczynowo-skutkowych, analizy, syntezy, matematyki, fizyki, nauk ścisłych. Jest wiele badań pokazujących, że osoby czytające są lepiej przygotowane do rozumienia pojęć z nauk ścisłych. Ale jest też cała sfera społeczna. Mózg ma wymiar relacyjny. Budujemy neurony lu-strzane, ćwiczymy się w rozumieniu drugiego człowieka, we współpracy, we współtworzeniu. Światowe Forum Ekonomiczne wśród najważniejszych kompetencji przyszłości wymienia wiele takich, które dotyczą współpracy, kreatywnego myślenia, pracy z ludźmi i przywództwa. To wszystko. mniej lub bardziej wprost, bierze się z tego, że pozwalamy sobie w szybkim świecie na powolne, głębokie skupienie na treściach. Czytanie ćwiczy mózg w czymś, do czego on wcale nie został pierwotnie stworzony. Nie ma w nim jednego miejsca odpowiedzialnego za czytanie. Żeby nauczyć się czytać i żeby czytać, uruchamiamy bardzo wiele obszarów mózgu. I właśnie dlatego czytanie jest tak dobroczynne. Powoduje, że nasz mózg zaczyna pracować na bardzo wysokich poziomach.

W programie konferencji, obok naukowców, edukato-

rów i przedstawiciele Komisji Europejskiej, znaleźli się także przedstawiciele biznesu. Czytanie może być dziś postrzegane również jako warunek konkurencyjności? To już nie jest tylko sprawa humanistów?

Zdecydowanie. To jedna z podstawowych prawd. Przyzwyczailiśmy się myśleć w pewnych torach. Tak są też zorganizowane nasze państwa: jest silos kultury, silos edukacji. Promocja czytelnictwa przypisana jest zwykle do silosu kultury. Zajmuje się nią Ministerstwo Kultury, na poziomie gminy wydział kultury, na poziomie europejskim komisarz do spraw kultury. To naturalne, bo społeczeństwa muszą być zorganizowane i trzeba dzielić obowiązki. Ale wyzwaniem jest uświadomienie sobie, że czytanie nie jest wyłącznie domeną humanistów. Oczywiście, że czytanie buduje kody kulturowe, naszą identyfikację, na poziomie regionu, państwa, kontynentu. Ale z punktu widzenia nauki Maryanne Wolf bardzo dobrze to ujmuję: zanim w ogóle rozpoczniesz rozmowę o wartości literackiej tekstu i kodach kulturowych, które on niesie, kiedy czytasz książkę, twój mózg już dostał całą pulę ćwiczeń analitycznych, syntetycznych, ćwiczeń krytycznego myślenia, zauważania perspektyw innych niż własna. Czyli uczenia się, że ktoś inny myśli inaczej. To wszystko dzieje się, zanim to zauważysz. Czytasz książkę, a twój mózg wykonuje ogromną pracę. Dlatego zanim zaczniemy rozmowę o jakości literackiej, kodach kulturowych czy kulturze wynikającej z tego, że czytamy te same książki, trzeba zobaczyć podstawowy poziom: czytanie jest treningiem mięśni mózgu. Ćwiczeniem operacji myślowych, które później decydują o tym, co jesteśmy w stanie zrozumieć, stworzyć i zrobić.

Celem Fundacji Powszechnego Czytania jest osiągnięcie 70 procent czytelnictwa w Polsce. Co praktycznie zmieniłoby się w państwie, gospodarce, relacjach społecznych, gdybyśmy taki poziom osiągnęli?

W wielu krajach prowadzi się badania pokazujące, że wyższy poziom czytelnictwa przekłada się na PKB. W Polsce nie znam takich wyliczeń, więc trudno mi byłoby mocno się na nie powoływać. Natomiast wiemy, że większa liczba osób czytających w danej społeczności oznacza lepszy poziom komunikacji i mniejsze rozwarstwienie społeczne. To są rzeczy, do których dążymy. Sprowadźmy to do konkretnego przykładu. Dziś w Polsce

mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana: psychicznie, emocjonalnie, ale też kompetencyjnie. One już na starcie są w bardzo trudnej sytuacji. Gdybyśmy doprowadzili do tego, że czytałoby 70 procent dorosłych i 70 procent rodziców czytałoby dzieciom, mielibyśmy o 20 punktów procentowych więcej dzieci, które przychodzą do szkoły lepiej przygotowane. Dla których szkoła nie zaczynałaby się od traumy. To bardzo konkretna i ogromna korzyść społeczna. Oczywiście można mówić też szerzej: o procesach, dzięki którym rośnie umiejętność współpracy, rosną kompetencje innowacyjne. Polska ma bardzo duże ambicje w tym obszarze. Myślę, że tutaj wiele mogłoby się zmienić. Ale ta rozmowa jest trudna, bo, jak powiedziałam, nie mamy dziś w Polsce takich prognostycznych wyliczeń. Inne kraje to robią. Jako fundacja marzymy o tym, żeby mieć środki na takie prognozy i policzyć to także w Polsce.

Co z pomysłem Fundacji dotyczącym książki na receptę? Czy pediatra może dziś być sojusznikiem czytania?

Pediatrzy już są naszymi sprzymierzeńcami. W tym roku w nowym wydaniu podręcznika do pediatrii, wydawanym przez Medycynę Praktyczną, a to podręcznik, z którego szeroko korzystają pediatrzy w Polsce, zostaje dodany rozdział poświęcony badaniom pokazującym, jak bardzo dzieci od urodzenia potrzebują czytania i rozmowy. W tym samym rozdziale opisano, jak rekomendacje dotyczące czytania można wprowadzić do każdej wizyty w gabinecie, czyli do standardów pediatricznych. To oznacza, że pediatrzy stają się naszymi sprzymierzeńcami systemowo. Nie chodzi już o to, że jeden, dwóch czy pięciu lekarzy będzie to robić z własnego przekonania. Chodzi o zmianę, która z czasem wejdzie w krwiobieg. Następne pokolenie pediatrów będzie miało tę wiedzę w swoim wykształceniu. Będzie postrzegało rozmowę, czytanie i dzielenie się książką z dzieckiem jako część medycyny. Ogromnie się z tego cieszymy. Do tej pory współpracują z nami już setki pediatrów w Polsce, ale to są ludzie, którzy nie uczyli się tego na studiach. Uczono ich o tym, że ważny jest ruch fizyczny, warzywa, witaminy, obok całej gigantycznej wiedzy pediatricznej. Natomiast rozmowa o książkach, wspólnym czytaniu, dzieleniu się

książkami od najwcześniejszych miesięcy życia, to w Polsce novum. I nie tylko w Polsce. W wielu krajach pediatrizy stają się dziś bardzo ważnymi sprzymierzeńcami czytania.

Konferencja stawia pytanie o wsparcie rodziców i opiekunów, jako tych, którzy kształtują młode umysły. Jakiego wsparcia potrzebują tu rodzice?

Przed wszystkim informacji. Kiedy rodzi się dziecko, wielu rodziców uczestniczy w szkołach rodzenia. Potem pojawiają się neonatolodzy, pediatrizy. I właśnie tam mogłoby pojawić się bardzo ważne wsparcie: jasna informacja, dlaczego rozmowa, obecność i książka są tak ważne od samego początku. Bo jeśli nam w dzieciństwie czytano, jeśli mieliśmy książki w domu i było to naturalne, jest duża szansa, że będziemy czytać własnemu dziecku. Albo wystarczy, że ktoś nam o tym przypomni, i to wróci. Ale w Polsce, podobnie jak w wielu społeczeństwach w Europie, jest część ludzi, która takiego doświadczenia nie ma. Są rodzice oczekujący dziecka, którym nikt w dzieciństwie nie czytał. Oni mogą po prostu nie mieć takiego pomysłu. Dlatego rodzice potrzebują informacji: kiedy dziecko się rodzi, jego mózg jest neuroplastyczny. Żeby mógł się rozwijać, żeby wydobyć z niego cały potencjał, potrzebna jest obecność, rozmowa pełna bogactwa językowego i czas. Na początku trzeba się z dzieckiem książkami bawić: pokazywać obrazki, dawać książkę do ręki, pozwalać, żeby dziecko samo doświadczało kontaktu z książką. Warto szybko wciągać je w interakcję. A potem przychodzi czas na opowieści. To jest informacja, której część rodziców po prostu nie ma. Drugi element to sprawdzone na świecie programy, które zachęcają rodziców, by zaczęli bawić się książką w domu. Anglicy mówią: sharing books, czyli dzielenie się książką. Na wczesnym etapie rozwoju dziecka często unikają nawet słowa reading - czytanie, bo nie chodzi o to, żeby posadzić niemowlaka i czytać mu długi tekst. Chodzi o interakcję, wspólne skupienie. Jeden z profesorów pediatrii używa określenia: nieśpieszny czas. To dobrze oddaje sens tej praktyki. Chodzi o bycie bez pośpiechu, koncentrację, budowanie w dziecku poczucia: rodzic poświęcił mi czas, jestem ważny. Drugim bardzo ważnym elementem są programy, w których rodzic przychodzący do pediatry usłyszy o korzyściach płyną-

cych z rozmowy i czytania z dzieckiem, i po prostu dostanie książkę w przychodni. Tym właśnie jest książka na receptę. Wysyłamy bezpłatnie książki do przychodni. Tam, gdzie lekarze potwierdzą, że są gotowi je rozdawać, mogą połączyć przekazanie książki z krótkim komentarzem. Chcemy zaprosić do czytania przede wszystkim tych ludzi, którzy sami takiego doświadczenia nie mieli. Tych, którym z takiego czy innego powodu rodzice nie czytali. Prawdopodobnie część z nich należy dziś do grupy około 30 procent polskiej populacji, która nie ma w domu żadnej książki. Jeśli więc ma się wydarzyć sytuacja, o którą zabiegamy, książka musi znaleźć się w ręku rodzica. Międzynarodowe organizacje, takie jak brytyjski Book Trust, szkocki Scottish Book Trust czy włoskie Nati per Leggere, od dawna pokazują w swoich ewaluacjach, że samo mówienie: „Czytajcie dzieciom”, bez doprowadzenia do tego, żeby książka była w zasięgu ręki rodzica, daje dużo słabsze efekty. Bo inaczej pojawia się kolejna bariera. Powiedzieliśmy rodzicom, że to ważne, ale mama czy tata wraca do domu zabiegany, trochę zapomina, trochę nie ma czasu iść do księgarni, trochę nie wie, co właściwie miałby kupić takiemu małemu dziecku. I po prostu nic się nie wydarza. Jeśli damy rodzicowi książkę, sytuacja się zmienia. On nadal wraca do domu zmęczony, zabiegany. Ale książka wyjęta z torby staje się przypomnieniem tego, co powiedział lekarz. I wtedy dajemy sobie nieporównanie większą szansę na to, że rodzic naprawdę zacznie się tą książką z dzieckiem bawić.

CV



FOT. MATPRAS.

Maria Deskur

Wydawczyni, ekspertka w dziedzinie upowszechniania czytelnictwa oraz prezeska Fundacji Powszechnego Czytania. Współzałożycielka wydawnictwa Muchomor, inicjatorka serii „Czytam sobie” oraz cyklu o Basi. Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, Sorbony oraz Université Lumière w Lyonie.

Liliana Bogusiak

Czy gdy pracownik zaczyna odczuwać fizyczne i emocjonalne wyczerpanie, przeciążenie obowiązkami zawodowymi, jest sfrustrowany i zestresowany, mówimy już o objawach wypalenia zawodowego?

JAROSŁAW DUDEK: Tak może być. Pierwsze pojawia się wyczerpanie emocjonalne i psychofizyczne; odczuwamy zmęczenie, obniża się nam nastrój, mamy coraz mniej satysfakcji z wykonywanej pracy, zaczynamy oddalać się od otoczenia. Zaczynamy się dystansować od innych, irytujemy się, mamy pretensje, żale do innych. Te nastroje przekładają się na relacje rodzinne. Jeśli w porę tego procesu nie zatrzymamy, zaczynamy uprzedmiotawiać ludzi, z którymi pracujemy, następnie przestajemy wierzyć w naszą skuteczność i realnie obniżamy jakość wykonywanej pracy, wypalenie może także prowadzić do pojawiania się poważnych chorób.

ANNA ZALEWSKA-JANOWSKA: Na poziomie fizjologii pojawiają się uporczywe niedomagania, bóle, traci się apetyt lub nagle zaczyna jeść dużo więcej niż wcześniej. U takiej osoby mogą pojawić się lęki, zaburzenia depresyjne. Wypalenie zawodowe nie zostało zakwalifikowane jako jednostka chorobowa, tylko syndrom zawodowy. Ale gdy jego objawy są już nasilone, pójście do psychiatry nie jest złym rozwiązaniem.

Czy to prawda, że wypalenie zawodowe pojawia się, gdy proporcje pomiędzy tym, co wkładamy w pracę, a tym, co dostajemy w zamian, są mocno zakłócone?

JD: Wypalenie zawodowe szybciej się pojawia i w większym stopniu dotyczy osób, które są ambitne i zaangażowane. Gdy to ich duże zaangażowanie, ambicja i plany zderzą się z rzeczywistością i nie widzą oni efektów, których by oczekiwali, ryzyko pojawienia się symptomów wypalenia zawodowego wzrasta. To nie znaczy, że osoby mniej ambitne na starcie i mniej zmotywowane do pracy nie doświadczają wypalenia zawodowego. U nich może stać się to później, ale może także wystąpić podobnie szybko.

Czy pracownik, u którego ten syndrom wystąpił, ma świadomość, że jest to wypalenie zawodowe?

JD: Większość osób nie ma tej świadomości. Czują, że coraz gorzej im się funkcjonuje w pracy. W pracy często towarzyszy im myśl „byłoby do piątku”. Dopiero w piątek zaczynają w miarę normalnie funkcjonować. W miarę jak syndrom wypalenia zawodo-

O tym, dlaczego praca przestaje sprawiać nam frajdę i pojawia się wypalenie zawodowe, rozmawiamy z prof. Anną Zalewską-Janowską i mgr. Jarosławem Dudkiem z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi



Prof. Anna Zalewska-Janowska i mgr Jarosław Dudek

WYPALENIE ZAWODOWE NAJSZYBCIEJ POJAWIA SIĘ U AMBITNYCH I ZMOTYWOWANYCH

wego się pogłębia, nawet weekend jest dla nich męczący i nie potrafią wypocząć. Do braku zadowolenia z pracy dochodzą problemy w rodzinie, ze znajomymi, pojawiają się konflikty. Taki pracownik, który początkowo starał się nie obniżyć swoich standardów pracy, zaczyna odczuwać, że efekty jego pracy nie są już takie jak wcześniej. Z czasem te standardy są coraz niższe i efekt pracy również.

Podaję, że niewielki odsetek tych osób informuje kierownika o swoim wypaleniu zawodowym...

JD: Moim zdaniem niewielki. Nie znam danych statystycznych, które obrazowałyby ten problem, ale tak wynika z moich obserwacji. Po pierwsze dlatego, że część osób jest nieświadoma tego, co się z nimi dzieje. Natomiast ci, którzy zdają sobie sprawę ze swojej sytuacji psychicznej, często nie widzą sensu w takich działaniach. Niektórzy mogą z takim poczuciem pracować aż do emerytury, ale nie będą to jednak ani pracownicy efektywni, ani zmotywowani, ani zadowoleni.

Pan pracuje z menedżerami. Jak reagują, gdy ich pracownicy skarżą się na wypalenie zawodowe?

JD: To zależy od świadomości szefa, jego samooceny i tego, czy potrafi efektywnie zarządzać firmą. Musimy pamiętać, że wypalenie zawodowe to jest także często problem wynikający bezpośrednio z zarządzania i systemu organizacji pracy w firmie. Część przełożonych ma blokadę, aby przyjąć ten fakt do wiadomości. Dlatego pracownik zgłaszający taką kwestię jest traktowany jak ten, który stwarza problem lub ten, któremu nie chce się pracować. Na szczęście jest coraz więcej menedżerów, którzy wspierają pracowników.

Kto powinien zauważyć czy zdiagnozować - mam na myśli medyków - u pracownika wypalenie zawodowe?

JD: Jeśli lekarz podstawowej opieki zdrowotnej dobrze zna swojego pacjenta, to zauważy, że coś złego się z nim dzieje. Czasami kilka dni zwolnienia lekarskiego pomaga. Ale przy bardzo zaawansowanym wypale-

niu zawodowym nie wystarczy nawet długotrwały urlop. Niekiedy zaleca się zmianę pracy, a w skrajnych przypadkach nawet zmianę zawodu.

Czy może Pan podać przykład takiej skrajnej sytuacji?

JD: Pracownica, bardzo ambitna, doświadczająca wypalenia zawodowego, u której doprowadziło ono do somatyzacji objawów. Kobieta, w momencie, gdy jadąc do pracy autem skręcała w ulicę, przy której znajdowało się jej miejsce pracy, zaczynała odczuwać silny ból nóg i duszności. Przychodziła do pracy, wykonywała swoje obowiązki, choć przez cały dzień źle się czuła. Gdy po wyjściu z pracy wyjeżdżała z ulicy, przy której znajdowała się firma, jej dolegliwości ustępowały. Postanowiła poszukać pomocy i wtedy zmieniła pracę. Po zmianie pracy dolegliwości ustąpiły. W przypadku wypalenia zawodowego mówi się o dwustronnych spiralach. Spirala, która ciągnie człowieka w dół, wygląda w ten sposób, że człowiek się wypala, zaniedbuje relacje,

hobby, czas wolny, a są to rzeczy, które wspierają wychodzenie z wypalenia zawodowego, więc „nakręcamy” tę spiralę. W przypadku pojawienia się wypalenia, zaleca się coś odwrotnego, czyli jeśli czujemy, że praca nas przeciąża, powinniśmy znaleźć sobie hobby, spędzać czas ze znajomymi i rodziną. To sprawi, że może wypalenie zawodowe się nie rozwinie i będzie to ta spirala ciągnąca człowieka w górę. Tymczasem wiele osób ucieka w inną stronę, najczęściej w kierunku używek. Nadużywanie alkoholu, leków prowadzi do lekceważenia obowiązków, utraty poczucia odpowiedzialności, co tylko ten syndrom pogłębia.

Przed laty, gdy mówiono o wypaleniu zawodowym, zwracano uwagę na to, że problem dotyczy głównie osób pracujących z ludźmi. Teraz to pojęcie rozszerzono. Jak bardzo?

JD: W pierwszych definicjach wypalenia zawodowego mówiono o tym, że dotyczy to osób pracujących z ludźmi i ich problemami, a więc lekarzy, psychologów, pracowników społecznych. Ale już od dawna mówi się, że dotyczy to każdego. Co więcej, dziś mówi się także nie tylko o wypaleniu zawodowym, ale też między innymi o wypaleniu rodzicielskim, akademickim, opiekuńczym i małżeńskim. Nie da się ukryć, że na początku część specjalistów patrzyła na takie rozszerzanie mocno sceptycznie. To się jednak zmieniło. Przecież w każdej aktywności można się wypalić, zwłaszcza jeśli ktoś się starał, a te wysiłki nie zostały w jego poczuciu należycie docenione.

Gdzie powinna szukać pomocy osoba zmagająca się z objawami wypalenia zawodowego?

AJZ: Na początkowym etapie zaleca się kontakt z psychologiem, na późniejszym z psychiatrą. Wiele osób ma jednak opory, aby skorzystać z takiej pomocy. W Okręgowej Izbie Lekarskiej organizowane są warsztaty przeciwdziałające wypaleniu zawodowemu, jak również szkolenia Naczelnej Izby Lekarskiej. Lekarze mogą się zapisać i skorzystać z profesjonalnych porad i wskazówek. Zawsze można przyjść na izbę psychiatryczną, bo każdy zostanie przyjęty przez specjalistę. Ale jest problem, czy pacjent jest w stanie wyciągnąć rękę po pomoc. Niewiele osób to potrafi.

JD: Wypalenie zawodowe jest efektem nieadekwatnych strategii radzenia sobie ze stresem. Jeśli nauczymy się, jak sobie radzić ze stresem, to ta umiejętność może przedłużyć nam wolność od wypalenia lub poradzić sobie z jego objawami, gdy zaczynają się pojawiać. Oczywiście nie dotyczy to zaawan-

sowanych objawów wypalenia zawodowego.

Czy gdybyśmy potrafili radzić sobie ze stresem, uniknęlibyśmy problemu wypalenia zawodowego?

JD: Warto sobie uświadomić, że życie bez stresu nie jest możliwe. Jest nieunikniony i nie ma go co demonizować. Stres bywa zły, niszczący, ale jest też mobilizujący. Odczuwane napięcie i pobudzenie motywuje nas do działania, popycha do poszukiwania nowych rozwiązań niekonwencjonalnych podejść do problemów. Lubię mawiać, że stres jest dobry, zły jedynie bywa. Tym „złym” trzeba się zająć.

AJZ: Warto nauczyć się kilku pozytywnych strategii radzenia sobie ze stresem. Optymizm sprawia, że organizm nie jest bombardowany nieustannie katastroficznymi wizjami - lepiej funkcjonuje na poziomie fizjologii. Warto stosować tzw. pozytywne przewartościowanie, czyli w najgorszej nawet sytuacji odnaleźć coś korzystnego dla siebie, a pojawiające się kryzysy traktować jako coś, co ma nas ubogacić, wzmocnić. Ta strategia pozwala zmienić nasze negatywne uczucia w pozytywne, a co najmniej negatywne zneutralizować. Przewycięzanie trudności to zdobywanie bezcennych doświadczeń zawodowych, ale i życiowych, małżeńskich, rodzicielskich.

Kolejna kwestia to grupa wsparcia. Człowiek jako istota społeczna potrzebuje co najmniej jednej osoby, aby utworzyć z nią grupę wsparcia. Poszerza to horyzonty, zmniejsza subiektywizm i pomaga przezwyciężyć trudne chwile.

CV

Prof. dr hab. n. med. Anna Zalewska-Janowska
Specjalista dermatolog-wenerolog, alergolog, immunolog kliniczny, pracuje w Zakładzie Psychodermatologii i Neuroimmunobiologii Skóry Uniwersytetu Medycznego w Łodzi.

Mgr Jarosław Dudek
Psycholog, trener, asystent w Zakładzie Psychodermatologii i Neuroimmunobiologii Skóry Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. Oprócz pracy na uczelni zajmuje się także współpracą z biznesem i wieloma organizacjami. Specjalizuje się głównie w tematyce radzenia sobie ze stresem, budowania asertywnych relacji zawodowych i prywatnych, zarządzania emocjami, komunikacji interpersonalnej, zarządzania sobą w czasie oraz motywacji.

Ospa, wywoływana przez wirusa ospy prawdziwej (Orthopoxvirus) nękała ludzkość przez co najmniej 3 tys. lat, zabijając 300 mln ludzi w samym tylko XX w. Ostatni odnotowany przypadek ospy miał miejsce w 1978 r., ale w laboratoriach powstają wciąż nowe mutacje wirusa.

Paniczny strach

W deklaracji „Wykorzenienia ospy w świecie” uchwalonej przez Światową Organizację Zdrowia w Genewie 8 maja 1980 r., czytamy: „Trzydzieste trzecie Światowe Zgromadzenie Zdrowia uroczystie oświadcza, że cały świat i wszyscy ludzie zostali uwolnieni od ospy, która była najstraszniejszą chorobą szalejącą w formie epidemii w wielu krajach od najdawniejszych czasów, pozostawiając po sobie śmierć, ślepotę i oszpecenie... Wyraża głęboką wdzięczność wszystkim narodom i jednostkom, które przyczyniły się do sukcesu w tym szlachetnym historycznym przedsięwzięciu”.

Ospa budziła strach od zawsze. Ślady wysypki spowodowanej ospą znaleziono nawet na twarzy mumii Ramzesa V (1160 r. p.n.e.). Pierwsze jej objawy - wysoka gorączka i zmęczenie przez wieki powodowały panikę, kolejne - charakterystyczna wysypka, która pojawia się w szczególności na twarzy, rękach i nogach - zamieszki i rozruchy. Potem było jeszcze gorzej - wykuty wypelniały się płynem, później ropą, a z czasem przekształcały się w strupy, które odpadały budząc przerażenie.

Śmiertelność 30 proc.

„W nieustającym pochodzie śmierci ospa niszczyła całe narody, zabijając zarówno ubogich, jak możnych i monarchów, dziesiątkowała armie, zmieniała losy krajów, kształtowała wierzenia; w Afryce, w Chinach i w Indii ospa miała swe bóstwa i swoje świątynie. Praktyki religijne przyczyniały się między innymi do utrzymania endemii i szerzenia się epidemii tej choroby” - pisał Jan Kostrzewski w rozprawie „Świat wolny od ospy” („Przegląd epidemiologiczny” nr 4, 1980 r.).

Dziś wiemy, że wirus wywołujący chorobę, czyli należąco do herpesvirusów Orthopoxvirus, przenosił się głównie przez bezpośredni kontakt z osobami chorymi oraz drogą kropelkową. Istniało też ryzyko zakażenia przez kontakt z ubraniami, pościelą i przedmiotami, z którymi miał styczność chory.

Śmiertelność ospy prawdziwej wynosiła średnio do 30 proc., ale zależała też od postaci choroby i mogła być wyższa. Najbardziej agresywne od-

DŁUGIE POŻEGNANIE Z CZARNĄ OSPĄ. W TLE WĄTEK POLSKI

8 maja 1980 r., Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) oficjalnie ogłosiła, że ludzkość na całym świecie jest wolna od czarnej ospy

Mariusz Grabowski



We Wrocławiu w maju 1963 r. wybuchła jedna z ostatnich w Europie epidemii ospy prawdziwej. Stan epidemii ogłoszono 17 lipca, odwołano go po kilku tygodniach, 19 września

miany ospy prawdziwej zabijały nawet ponad 80 proc. osób zarażonych. Najwyższą umieralność obserwowano u osób nieszczepionych.

Jest nadzieja

Krokiem milowym w zrozumieniu, na czym polega nabieranie odporności na ospę, były próby opanowania jej za pomocą immunizacji, czyli uodpornienie organizmu na działanie czynników chorobotwórczych. Historia ta sięga XI-wiecznych Chin, z których pochodzą pierwsze wzmianki o stosowaniu strupów pobranych od osób przechodzących łagodną formę ospy i aplikowaniu ich zdrowym obywatelom w celu uodpornienia.

Zabieg ten, zwany w epidemiologii wariolizacją, zyskał jednak na popularności dopiero pięć wieków później, wtedy pojawiły się również pierwsze instrukcje, jak przeprowadzić go prawidłowo. Do najbardziej rozpowszechnionych metod należało wdmuchiwanie do nozdrzy wysuszonych i zmielonych strupów oraz umieszczanie w nosie waty nasączonej płynem pochodzącym z krost.

Momentem przełomowym w historii pokonania ospy były obserwacje poczynione przez Benjaminą Jesty'ego, który po-

wianki, występującego głównie u bydła, ale niestawiającego zagrożenia dla ludzi, z pomocą na zarażenie się chorobą. Postanowił podawać więc zarażonym wirus krowianki. 14 maja 1796 r. przeprowadził szczepienie na 8-letnim chłopcu, uznawane za pierwszy tego rodzaju zabieg w historii. Pacjent nie zachorował i dożył starości.

Czy to już koniec?

Już w 1881 r. na cześć odkrycia Jennera Ludwik Pasteur zaproponował nazwanie go terminem „vaccination” (z łac. vacca - krowa), czyli „wakcy-nacja” (szczepienie). Wiadomość o sukcesie zabiegu obiegła cały świat, jednak aż do lat 60. XX w. szczepienia nie były popularne, a liczba zakażeń utrzymywała się na poziomie 10-15 mln rocznie. Zaczęła spadać dopiero po wprowadzeniu w 1967 r. Światowego Programu Eradykacji Ospy Prawdziwej. Rozpoczęcie procesu powszechnych i obowiązkowych szczepień doprowadziło do całkowitego wykorzenienia tej choroby.

Co ciekawe, pojawiają się głosy, że wyeliminowanie ospy odrąbiono nieco na wyrost. Jest bowiem wielce prawdopodobne, że nie wszystkie kraje zastosowały się do Konwencji o zakazie prowadzenia badań,



Ubiór ochronny służby zdrowia w okresie epidemii we Wrocławiu. Zachorowało 99 osób (najwięcej było pracowników służby zdrowia), z których siedem zmarło, w tym cztery to lekarze i pielęgniarki

produkcji i gromadzenia zapasów broni bakteriologicznej i toksycznej oraz o ich zniszczeniu z 1972 r. Wciąż zatem istnieje zagrożenie użycia wirusa ospy jako broni biologicznej. Jest to prawdopodobne z uwagi na jego wysoką zakaźność, łatwość szerzenia się zachorowań, wysoką śmiertelność oraz niewielkie koszty produkcji.

Czający się wirus

Dowody są na wyciągnięcie ręki: W lipcu 2014 r. przez amerykańskie media przemknęła wiadomość, że w pomieszczeniach gospodarczych laboratorium Narodowych Instytutów Zdrowia w Bethesda w stanie Maryland (w 1972 r. je przejął Agencja Żywności i Leków), odkryto próbki wirusa ospy prawdziwej pochodzące z lat 50. XX w.

Z kolei w 2017 r. zespół kanadyjskich naukowców pod kierownictwem wirusologa Davida Evansa z Uniwersytetu Alberta w Edmonton syntezował bliskiego krewnego ospy prawdziwej. Dokonali tego dzięki materiałowi DNA „dostarczonego pocztą z publicznie dostępnych źródeł” przez niemiecką firmę Geneart, która specjalizuje się w syntezach DNA na zamówienie. To dowód, że podobna możliwa dla każdego, kto dys-

ponuje odpowiednimi umiejętnościami i zasobami.

Epidemia z 1972 r.

Odnajdujemy dla porządku, że ostatnim dużym zarzewiem ospy w Europie była epidemia w Jugosławii w 1972 r. Ogni-skim zakażenia okazał się pielgrzym, który powrócił z Bliskiego Wschodu, gdzie zakaził się wirusem. Epidemia objęła 175 osób, z których 35 zmarło (śmiertelność wyniosła więc 20 proc.). Władze ogłosiły stan wyjątkowy, wprowadziły kwarantannę oraz masowe ponowne szczepienia obywateli, korzystając z pomocy WHO i Donalda Hendersona. W ciągu 2 miesięcy epidemia została jednak powstrzymana.

Ostatni naturalny przypadek variola minor został zdiagnozowany 26 października 1977 r., a ostatni przypadek groźniejszej variola major dwa lata wcześniej, w listopadzie 1975 r. Oblicza się, że kompletne wyeliminowanie ospy kosztowało 300 mln dolarów.

Nieco sensacyjne zakończenie historii ospy opisali Ken Alibek i Stephen Hadelman w „Biohazardzie” - w 1978 r. wirus wy-dostał się z laboratorium naukowego w Birmingham. Bezpośrednio w wyniku choroby zmarła Janet Parker, pełniąca funkcję fotografa medycznego, natomiast prof. Henry Bedson,

naukowiec odpowiedzialny za badania ospy na uniwersytecie, popełnił samobójstwo.

Ospa na Dolnym Śląsku

W Polsce powszechny obowiązek szczepień przeciwko ospie czarnej wprowadzono już w 1951 r. (zniesiono go w 1980 r., po deklaracji WHO). Jednak to właśnie w Polsce, we Wrocławiu, wybuchła w maju 1963 r. jedna z ostatnich w Europie epidemii ospy prawdziwej. Pierwszą jej śmiertelną ofiarą była pielęgniarka Lonia Kowalczyk, która miała styczność z zakażonym Bonifacym Jedynakiem, który akurat wrócił z Birmy i Wietnamu.

Stan epidemii ogłoszono 17 lipca, odwołano go 19 września. W czasie trzech miesięcy zachorowało 99 osób, z których siedem zmarło. Miasto zostało na kilka tygodni sparaliżowane i odcięte od reszty kraju kordonem sanitarnym. Wprowadzono zakrojony na szeroką skalę program profilaktyczny, umieszczając osoby podejrzane o kontakt z chorymi w izolatoriach. Zaszczepiono wówczas 98 proc. mieszkańców Wrocławia. Tym, którzy nie chcieli podporządkować się wprowadzonym przepisom, groziły wysokie grzywny, a nawet więzienie. Stworzono też karne izolatki dla - zawsze pojawiających się w podobnych sytuacjach - awanturników i buntowników.

Znaczenie szczepień

Jednym z najważniejszych zadań, jakie władze postawiły sobie w walce z ospą prawdziwą, było rozpoczęcie wspomnianych masowych szczepień. We Wrocławiu wprowadzono je 17 lipca i początkowo były dobrowolne.

Tylko w trzech pierwszych dniach akcji zaszczepiło się 124 tys. osób, a do 22 lipca - 180 tys. Dla porównania w 1962 r. w Polsce przeciwko ospie prawdziwej ogółem zaszczepiono ok. 200 tys. osób. Z dniem 1 sierpnia 1963 r. wprowadzono szczepienia przymusowe i obowiązek ten objął wszystkich mieszkańców miasta, bez wyjątku, również tych, którzy wcześniej zostali z niego zwolnieni. Osoby poddane szczepieniu (skaryfikacji) otrzymywały zaświadczenie o wykonaniu zabiegu, które od tej chwili należało, podobnie jak dowód osobisty, nosić przy sobie i okazywać na wezwanie. Ale pomimo powagi sytuacji, nie zdecydowano się całkowicie zamknąć miasta. Kina, teatry, sklepy i kluby działały jak przed pojawieniem się choroby. Na kilka dni zamknięto jedynie miejskie kąpieliska.

Jak widać, polskie władze sanitarne poradziły sobie z ospą dość sprawnie. Światowa Organizacja Zdrowia przewidywała bowiem, że epidemia potrwa dwa lata i w jej wyniku zachoruje do 2 tys. osób, a umrze 200.

TWOJA PIERWSZA KO..., TWOJA PIERWSZA KOMÓRKA!

Ten tytuł to nie wymysł, to fragment reklamy sprzed kilkunastu już lat, która wciąż pozostaje aktualna, choć komórkę jako prezent komunijny można zastąpić nowszym gadżetem: pierwszą hulajnogą, albo pierwszym dronem. Daleko zaszliśmy także w przyjęciach komunijnych, które w niczym nie przypominają skromnych domowych obiadów sprzed lat. Choć i wtedy bywały wyjątki.

Anna Gronczewska

Dziesięcioletnia Nadia już nie może doczekać się ostatniej niedzieli maja. Tego dnia pójdzie do Pierwszej Komunii Świętej. Już zamówiła u chrzestnej tablet. Chrzestny ma jej kupić rower. Liczy, że babcie, dziadkowie i ciocie dadzą trochę pieniędzy. Może wtedy starszy jej na laptopa lub na konsolę? Sama nie ma wielkich wymagań. Ale niektórzy koledzy z jej klasy chwalą się, że dostaną w prezencie quad czy elektryczne hulajnogi.

Nadia i jej koleżanki nie pójda do komunii w albach. Każda będzie miała piękną sukienkę.

- Ja mam już sukienkę, mama mi kupiła! - mówi dziewczynka. - Taką z falbankami. Mama ma mi też kupić buty na obcasiku i torebkę.

Kamila Łuczak, mamę 9-letniej Weroniki, pierwsza komunii córki czeka za rok. Była na komunii kuzynów i przerażała ją rewia mody, którą zobaczyła w kościele.

- Dziewczynki wyglądały jak małe księżniczki lub panny młode, zamiast wianka powinny mieć welony, a niektóre były ubrane w suknie z fiszbinami - wspomina nie bez oburzenia.

W różowej sukience

Stroje, w jakich dzieci przystępują do pierwszej komunii od lat budzą emocje. W Polsce jeszcze przed wojną dziewczynki chodziły do komunii w białych sukienkach, a chłopcy w ciemnych garniturach. Z czasem pierwszokomunijne ubiory stały się coraz bardziej strojne. Dziewczynki pojawiały się w kościele w wymyślnych kreacjach. Granatowe garnitury chłopców zastąpiły popielate, białe, a nawet zielone. W jednej z podlódzkich parafii rodzice tak chcieli wyróżnić swoją córkę, że ubrali ją do komunii w różową sukienkę.

Monika Gawrońska z Łodzi, mama Oliwii, która była w tam-

tym roku u komunii, nie chciała się zgodzić, by jej córka założyła albę. Tłumaczy, że zawsze marzyła, by jej córka w tym wyjątkowym dniu wystąpiła w białej sukience z falbanami. I jej marzenie się spełniło...

- Gdy nie ma alb, od razu wiadać, które dziecko jest biedniejsze, a które bogate - przekonuje z kolei Kamila Łuczak. - Dlatego najlepiej gdy wszystkie dzieci idą do komunii w albach.

Pani Basia, właścicielka jednego ze sklepów oferującego w internecie między innymi sukienki komunijne, mówi, że cieszą się dużym powodzeniem, choć w wielu kościołach idzie się do komunii w albach. Dlaczego?

- Rodzice chcą, by ich córki miały sukienkę na przebranie - wyjaśnia.

Pamięta, że kiedyś przyszła do jej salonu mama z 10-letnią dziewczynką. Miały ze sobą zdjęcie sukni ślubnej wartej 3.600 złotych.

- Pani poprosiła, byśmy uszyły taką sukienkę dla jej córki do komunii - wspomina pani Basia. - Sukienka była bardzo strojna, trzeba było jednak dokończyć korekt, na przykład zakryć ramiona. Nie wypadła przecież, by dziewczynka szła do komunii w odkrytych ramionach. No i cena była trochę niższa...

Pani Basia zapytała matkę dziewczynki, dlaczego wybrała taką właśnie sukienkę.

- Moja córka bardzo dobrze się uczy, zna kilka języków - tłumaczyła mamusia dziewczynki. - Zobaczyła na zdjęciu tę suknię ślubną i stwierdziła, że w takiej chce iść do komunii. Nie mogłam jej odmówić. Przecież

mam takie dobre i zdolne dziecko!

Parada mody czy przeżycie religijne?

Dziś w wielu kościołach dzieci idą do komunii w albach. Alby, czyli długie, białe tuniki, odpowiednio ozdobione, pojawiały się w kościołach w połowie lat dziewięćdziesiątych. Początkowo wielu rodziców odnosiło do nich nieufnie, ale z czasem się do nich przekonali. Nadal jednak nie wszystkie dzieci przyjmują komunię świętą w albach. Łatwiej przekonać do nich mieszkańców wsi, niż dużych miast.

- Był czas, że rodzice podchodzili bardzo opornie do alb - mówi ksiądz z jednej z łódzkich parafii. - Na szczęście to się zmienia. U nas już niemal wszystkie dzieci idą do komunii w albach. Niestety, nadal są tacy, którzy traktują komunię jako paradę mody, pewien folklor, a nie przeżycie religijne. Jest to dla nich rodzinna impreza, na której można się popisać kto ma ładniejszą sukienkę. Zwłaszcza mamy dziewczynek były oporne. Teraz jednak tylko pojedyncze dzieci podczas komunii nie mają u nas alb.

Katarzyna Marczak, łódzka nauczycielka, posłała córkę do komunii 10 lat temu. Wtedy jeszcze szły do niej dzieci uczące się w drugiej klasie (obecnie w trzeciej). Ola poszła do komunii w albie, choć mama kupiła jej też za 150 złotych sukienkę na przebranie. Inne dziewczynki miały je mieć, więc dlaczego miała bronić swojej jedynaczce?

- U nas ta komunія przebiegła normalnie - wspomina Katarzyna. - To znaczy było przyjęcie w restauracji na 20 osób, czyli najbliższej rodziny. Kosztowało nas około 2 tysięcy złotych. Nie było żadnych karet, limuzyn. A teraz słyszę, że znajomi zastanawiają się czy ich córka ma pojechać do komunii białą kareta czy limuzyną.

Kilka lat temu łódzką prasę obiegło zdjęcie dziewczynki, która pod kościół, w którym odbywała się uroczystość Pierwszej Komunii Świętej, zjechała piękną, białą kareta. Okazało się, że był to komunijny prezent od babci. Wynajem kosztował ją 600 złotych. Karetą pod kościół w czasie pierwszych komunii wywołała małą sensację, ale nie jest rzadkością. Kilka lat temu taką samą piękną kareta zjechała dziewczynka pierwszokomunijna pod kościół w łódzkiej Rudzie Pabianickiej. W maju sporo pracy mają też firmy wynajmujące takie pojazdy. Jedną z nich znajduje się pod Sieradzem. Jej właściciel tylko śmieje się, gdy słyszy, że w Łodzi ktoś wynajmą kareta za 600 złotych.

- Moja kareta jest elegancka, biała, pięknie wystrojona - dodaje. - Za wynajęcie jej na komunię w Łodzi biorę co najmniej 2 tysiące! Chętnych nie brakuje!

A jak kiedyś wyglądały komunie święte?

Komunia w stylu wileńskim

Jan Tomaszewski, były bramkarz ŁKS-u i reprezentacji Polski, do Pierwszej Komunii Świętej przystępował we Wrocławiu. Była to druga połowa lat pięćdziesiątych.

- Nie szedłem do komunii w garniturze, tylko w białej koszuli i granatowych spodniach - opowiada populary „Tomek”. - Tak też wyglądali moi koledzy. Dziewczynki były ubrane w długie sukienki, które wyglądały jak suknie ślubne. Taka była wtedy moda we Wrocławiu. Ja jestem

bowiem z tych „Karguli”, którzy wysiedli we Wrocławiu, a nie w Jeleniej Górze. To znaczy nie ja, a moi rodzice.

Bramkarz opowiada, że najgorsze było czekanie. Trzeba było wcześniej przyjść do kościoła i czekać na rozpoczęcie mszy świętej.

- Oczywiście wcześniej były próby, przygotowania, ale najgorsze było to wyczekiwanie przed kościołem już w dniu komunii - twierdzi Jan Tomaszewski. - Sama Pierwsza Komunia Święta była niesamowitym przeżyciem, tak jak spowiedź, która miała miejsce w sobotę. Na to się czekało. Dlatego, gdy tak w słońcu staliśmy przed kościołem, to czas bardzo się dłużył. Dobrze to zapamiętałem.

Po komunii wszyscy poszli do domu.

- Moja rodzina pochodziła z Wileńszczyzny, więc przyjęcie komunijne było bardzo huczne, już wtedy - opowiada „Tomek”. - Przy jednym stole siedziały dzieci, przy innym dorośli. A dzieci było dużo. Wiadomo, że dzieci szybko zjadły i pobiegły do zabawy. Ja bawiłem się z nimi. Potem przebrałem się w galowy strój i poszedłem z chrzestnymi na nabożeństwo do kościoła. Dopiero wtedy zaczęła się biesiada dorosłych. Nie powiem, że nie było alkoholu. A zabawa trwała do nocy. Było to prawdziwe wileńskie przyjęcie! Jan Tomaszewski pamięta, że w prezencie komunijnym dostał piłkę, rower i zegarek.

- Ale na te prezenty składała się cała rodzina! - dodaje.

Smutek podartych rajtuz

Elżbieta Nowaczyk do Pierwszej Komunii Świętej przystępowała w 1974 roku. Pamięta, że koleżanka mamy wróciła właśnie z Włoch i przywiozła jej piękne, białe rajtuzy.

- Były to tzw. kabaretki - wspomina Elżbieta. - Nie mogłam się doczekać kiedy je założę. Były takie piękne... Założy-

łem je w dniu komunii, byłam taka szczęśliwa. Wszystkie koleżanki z podziwem patrzyły na moje kabaretki.

Jednak to szczęście nie trwało długo. Podczas komunijnej mszy Elżbieta ukłękła. To samo zrobiła stojąca przed nią koleżanka...

- Uderzyła mnie butem w nogę i w moich kabaretkach zrobiła się ogromna dziura... Gdy szłam, by pierwszy raz przyjąć komunię świętą, nie myślałam o niczym innym jak o tej dziurze w rajtuzach. Miałam wrażenie, że wszyscy ją widzą. Potem mama ją jakoś zaczerowała, bym mogła w tych kabaretkach pozować do komunijnego zdjęcia.

Dobrze też pamięta komunijne prezenty. Dostała zegarek „Czajka” i rower „Wigry”.

- Najbardziej cieszył mnie rower - mówi Łodziańska. - Dostałam też z dziesięć bombonierek. Schowałam je do szafy, gdzie pięknie je ułożyłam. Były tak piękne, że żał mi było je otworzyć i jeść. Ale w końcu chciałam spróbować jedną czekoladkę. Niestety, pudełko było puste, tak jak kolejne. Okazało się, że wszystkie czekoladki wyjadł mój młodszy brat...

Zagubiony łańcuszek

Jolanta Śniegocka, łódzka lekarka, do komunii poszła na początku lat sześćdziesiątych. Przypomina, że najbardziej stresowała ją pierwsza spowiedź.

- Wszystkie grzechy spisałam sobie na kartce, bałam się, że któregoś zapomnę! - śmieje się dziś. - Przed samą komunią nie spałam chyba całą noc... Sukienkę uszyła mi ciocia, która była krawcową. A na głowie miałam wianek upleciony z żywych kwiatów. Zrobiły mi go starsze siostry.

Po uroczystości w domu był uroczysty obiad, ale zebrała się na nim tylko najbliższa rodzina. Jolanta nie zapomni, że w prezencie komunijnym od chrzestnej dostała... parasolkę.

**MOJA RODZINA POCHODZIŁA
Z WILEŃSZCZYZNY, WIĘC PRZYJĘ-
CIE KOMUNIJNE, A BYŁY TO LATA
50., BYŁO BARDZO HUCZNE
- OPOWIADA JAN TOMASZEWSKI**



FOT. ARCHIWUM DL



FOT. ARCHIWUM DL



FOT. ARCHIWUM DL



FOT. ARCHIWUM DL

Komunijne stroje przez długie lata były dość skromne. Pogoń za wyszukаныmi kreacjami w największym stopniu dotknęła dziewczynki. Prezenty zwykle były na miarę czasów - kiedyś standardem były rower, zegarek i radio tranzystorowe

- Chrzestny dał mi złoty łańcuszek - wspomina. - Nie cieszyłam się jednak nim długo. Po obiedzie pobiegłam z kuzynkami pobawić się na łące. I zgubiłam łańcuszek...

Anna Koczeńska, łódzka prawniczka, do pierwszej komunii poszła w 1973 roku. Uroczystość miała miejsce w kościele pw. św. Kazimierza na łódzkim Widzewie. Nie zapomni, że nie spała niemal całą noc, by nie zepsuła się jej przygotowana wieczorem przez mamę fryzura. Mama zadbała też, by miała piękną sukienkę. W „Peweksie” kupiła białą kremlinę za wcześniej moźolnie odkładane dolary. Suknię szyla jej potem znajoma krawcowa, która pracowała w „Telimenie”. Jeździły na przyimiarki na Stoki, a Ania nie mogła się doczekać, kiedy założy to białe cudo...

- Przyjęcie komunijne odbywało się w domu - wspomina Anna. - Było na nim z 40 osób. Stoły były rozstawione

w dwóch pokojach. Mama nie chciała, by na przyjęciu komunijnym był alkohol. Wiadomo jednak, że w Polsce na takich uroczystościach bez alkoholu nie ma zabawy, ani apetytu. Tak też było u mnie. Kiedy po południu poszłam do kościoła z mamą i chrzestnymi po odbiór komunijnych obrazków, tata był gotowy. Schował wcześniej kilka butelek wódki i wyciągnął w czasie nieobecności mamy. Gdy wróciliśmy z kościoła, goście byli już wyraźnie rozluźnieni.

Anna pamięta, że na komunię dostała kolorowe mazaki, książkę o Ani z Zielonego Wzgórza, złoty pierścionek, łańcuszek i pieniądze.

Nie pamiętam, żebym dostał prezent

Nieżyjący już znany łódzki aktor Michał Szewczyk do Pierwszej Komunii Świętej poszedł zaraz po wojnie, w 1946 lub 1947 roku.

- Do pierwszej komunii przystąpiłem zaraz po tym jak otworzyli kościół pw. św. Franciszka w Łodzi - opowiadał nam Michał Szewczyk. - W czasie wojny w kościele znajdował się magazyn czapek wojskowych.

Rodzice przygotowali dla aktora garniturek, z krótkimi spodenkami. Zachował się jego komunijne zdjęcie. Stoi na nim z rodzicami, siostrą, chrzestną.

- Bardzo cieszyłem się, że do komunii poszedłem w podkolanówkach, a nie pończochach, w których nieraz musieli chodzić chłopcy, bardzo ich nie lubiłem - wspominał Michał Szewczyk.

Aktor nie pamiętał przyjęcia komunijnego, ale znając swoich rodziców, uważał, że na pewno było zorganizowane.

- W tej samej kamienicy przy ulicy Staszica mieszkała też moja chrzestna, więc przyjęcie musiało być - mówił nam pan Michał. - Nie pamiętam, żebym dostał jakiś prezent.

Wtedy nie było takiej mody. Rower dostałem kilka lat po niej. Miał jeszcze drewniane obręcze. Ten rower sam złożył mi tata Władysław. Uchodził za „złotą rączkę”. Potrafił wszystko. Złożył nawet radio. Potem cała kamienica schodziła się do nas, by posłuchać radiowych audycji.

Po komunii Michał Szewczyk został ministrantem. Służył do mszy przez kolejne dziesięć lat. Bardzo to lubił.

- Mama zamawiała dla mnie wspaniałe komże - wspominał łódzki aktor. - Wyszywane, potem krochmalone. Uwielbiałem je!

Nie zapominajmy o istocie pierwszej komunii

Ks. dr Andrzej Blewiński, emerytowany proboszcz parafii Matki Bożej Dobrej Rady w Zgierzu, krytycznie patrzy na współczesne Pierwsze Komunie Święte.

- Rok albo dwa lata wcześniej rodzice załatwiają salę, w której ma się odbyć przyjęcie komunijne. Wybierają menu, zastanawiają się nad prezentami, a gubią istotę całej uroczystości - mówi. - A istotą jest sam sakrament Eucharystii. Pierwsza komunie wprowadza niejako do dorosłego życia religijnego. Po to dziecko chodzi na katechezę. Lekcje religii odbywają się w przedszkolu, potem pierwszej, drugiej i trzeciej klasie szkoły podstawowej. Trwa więc przygotowanie do Pierwszej Komunii Świętej, katecheci się trudzą, a wielu rodziców spłaszca całe zagadnienie, myśląc tylko co zewnątrz, a nie o tym co niesie z sobą przyjęcie tego sakramentu. A przecież Pierwsza Komunia Święta, pierwsza spowiedź są dużym przeżyciem dla dziecka. Tylko na tę sprawę zwracają niemal wyłącznie księża, katecheci. Dla większo-

ści rodziców ważne jest zupełnie co innego. Nie ma tu tej zgodności i jest to bolesne. Dprowadza to do tego, że uroczystość pierwszokomunijna staje się wydarzeniem o charakterze rekreacyjno-ludycznym. Zdarzało się, że dziecko podjeżdżało do kościoła na swoją pierwszą komunię białą karetą zaprzężoną w sześć koni.

Ks. Andrzej Blewiński przyznaje, że uroczystość Pierwszej Komunii Świętej skomercjalizowała się.

- Pamiętam, że w jednej z parafii rozmawiałem z dziećmi na temat prezentów komunijnych - wspomina. - Prześcigały się w opowieściach, co kto dostał. Były rowery, komputery, konsole. I odezwiała się w końcu jedna dziewczynka, która powiedziała: Dla mnie największym prezentem był Pan Jezus w Komunii Świętej! Zaległa niesamowita cisza. Zaskoczyła kolegów i koleżanki. Ale ta dziewczynka dała bardzo dojrzałą odpowiedź. To nie oznacza, że nie powinno się dawać prezentów na Pierwszą Komunię Świętą. To sympatyczny element tej uroczystości, bo zawsze miło jest coś dostać, ale nie należy nastawiać dziecka na to, że ta uroczystość wiąże się tylko z upominkami. Nie można mówić dziecku, że przyjedzie wujek i da komputer, a ciocia - rower. Dziecko wtedy nastawia się tylko na te prezenty. Marzy o nich, rozmyśla. Gubi się wtedy to, co jest w Pierwszej Komunii Świętej najważniejsze. Dochodzi nawet do takich sytuacji, że tuż przed komunią świętą rodzicom przypomina się, że dziecko nie jest ochrzczone. W naszej parafii na przełomie kwietnia i maja będzie kilka takich chrztów. Jeszcze raz powtórzę, że podczas Pierwszej Komunii Świętej najważniejszy jest wymiar religijny, nie komercyjny. Niestety, ten głos jest zagłuszony. Często posyła się dziecko do pierwszej komunii dlatego, że tak wypada, bo idą jego koledzy, koleżanki. Ekspozowane jest profanum, a sacrum jest pomijane.

Sam dobrze pamięta swoją Pierwszą Komunię Świętą. Przystępowała do niej setka dzieci.

- Cała uroczystość była skromnie przygotowana - opowiada. - Wiadomo, czasy były inne. Nie było takich wystawnych prezentów, obiadów, tylu gości. Do dziś pamiętam, że w czasie mszy świętej byłem rozproszony, rozglądałem się, by zobaczyć czy do komunii przystępują moi rodzice. Kiedy zobaczyłem ich u komunii, to uspokoiłem się...

Po uroczystości był w domu obiad. Byli na nim tylko rodzice, brat i siostra oraz chrzestni z rodzinami. Ks. Andrzej zapamiętał, że mama ugotowała rosół, a od chrzestnego dostał w prezencie radziecki zegarek i małe radio tranzystorowe.

– Zawsze przed porodem dokładnie ustalam, co mogę fotografować, czy rodzice chcą mieć na zdjęciach wyłaniającą się główkę czy nie – mówi Alina Gabrel-Kamińska z Białegostoku, fotografka porodowa

Urszula Śleszyńska

SFOTOGRAFOWAŁA JUŻ 30 PORODÓW I PRZY KAŻDYM MOCNO SIĘ WZRUSZA

Poród to bardzo intymny moment w życiu zarówno kobiety, jak i całej rodziny. Jak to się stało, że zaczęłaś w tę intymność wchodzić z aparatem?

To było 10 lat temu, w 2016 roku, ponad rok po porodzie mojego drugiego dziecka. Miałam depresję poporodową, problemy z karmieniem, więc szukałam wsparcia na kręgach kobiet. Robiłam zdjęcia na tych spotkaniach. Później zaczęłam też fotografować kobiety karmiące i jedna z mam, która była w pierwszej ciąży, spytała się, czy bym zrobiła reportaż z jej porodu. Od razu się zgodziłam. I od razu wsiąknęłam w tę tematykę. To był poród domowy, podczas którego płakałam jak bóbr, razem z rodzicami. Miałam bardzo trudne warunki, bo była noc i tylko kilka świeczek. Rodzice nie wyrazili zgody na publikację tych zdjęć, więc nie mogłam się pochwalić, że byłam przy porodzie. Ale te emocje, ta adrenalina, te endorfiny – tego nie da się porównać do niczego innego.

Ile porodów już sfotografowałaś?

Około trzydziestu.

Nie jesteś jedyną fotografką porodową w Polsce.

Kiedy zaczynałam 10 lat temu, było nas może trzy osoby, w tym jeden mężczyzna. Dziś w Polsce jest coraz więcej fotografek i fotografów porodowych.

Myślisz, że kobietom jest łatwiej fotografować porody niż mężczyznom?

Tak, wydaje mi się, że kobietom jest łatwiej. Poród to bardzo intymny moment. Ja zawsze przed porodem dokładnie ustalam, co mogę fotografować, czy rodzice chcą mieć na zdjęciach wyłaniającą się główkę czy nie. I myślę, że łatwiej jest zrobić takie zdjęcie mi, czyli kobiecie, która też już rodziła, niż mężczyźnie. Mój pierwszy osobisty poród był naturalny, a drugi – za pomocą cesarskiego cięcia, więc



FOT. MAGDALENA WŁASZEK

– Młodsze pokolenie położnych to osoby otwarte, widzą piękno narodzin. Jednak pokolenie starszych ma inne doświadczenia – często uważają, że poród to nie jest coś takiego, co warto zatrzymywać w pamięci – mówi Alina Gabrel-Kamińska

mam różnorodne doświadczenia i myślę, że dzięki temu jest mi łatwiej.

Kiedy podczas porodu najczęściej naciskasz spust migawki?

Trudno znaleźć konkretne momenty. Naciskam spust, kiedy czuję, że te kadry opowiadają całą historię narodzin. Często fotografuję mało oczywiste detale, jak kosmyk włosów spadający na czoło, splecione dłonie rodziców...

Fotografia porodowa to chyba najintymniejsza z istniejących dziedzin fotografii?

Myślę, że tak. Ale wiem, że są też tacy, którzy robią jeszcze bardziej intymną, na przykład zdjęcia w trakcie... poczęcia.

Czy zdarza się, że przygotowująca się do porodu kobieta bardzo chce mieć fotograficzny zapis tego najważniejszego w jej życiu wydarzenia, a jej mąż czy też partner nie chce?

Tak się zdarza. Bywa, że mężczyzna się nie zgadza, bo uważa, że to zbyt intymne. Albo też nie zgadza się na robienie zdjęć w trakcie porodu, bo się boi, że zostaną na nich pokazane jego ogromne emocje. Ja w takich sytuacjach nigdy nikogo nie namawiam, bo to jest ich poród i to musi być ich wspólna decyzja. Ale przede wszystkim musi być zgoda kobiety, bo to jest jej ciało i jej przestrzeń.

Podczas porodów domowych kobieta i mężczyzna wpuszczają cię do swojej prywatnej przestrzeni i tam, w takiej intymnej atmosferze, z pewnością łatwiej jest fotografować poród niż w szpitalu?

To jest przepaść. Porody domowe to dużo większa swoboda dla rodziców, ale i dużo większa swoboda dla mnie. W domu rodzącą kobietę otaczają bliscy, rodzina i każdy, kogo rodzica zaprosi. Kiedyś tak właśnie wyglądały porody, że była obecna cała rodzina, tworzone kręgi kobiet. I ten poród domowy to jest taki powrót do tych więzi, do wspólnoty, na swoich warunkach. Jest pełna swoboda – rodząca kobieta może chodzić, ruszać się, wyjść nawet na spacer czy też zjeść coś, na co akurat ma ochotę. A w klinice raczej nie jest to możliwe.

W robieniu zdjęć podczas porodów domowych zapewne pomaga ci to, że pracujesz zazwyczaj ze sprawdzonymi położnymi, które dobrze znasz?

Tak. To działa w obie strony. Czasem podpowiedzą, w którą stronę układa się główka dziecka podczas porodu, że bym ją sfotografowała. Ja z kolei mogę podać im coś, czego potrzebują.

Czy bywa, że w szpitalach trafiaś na opór – że rodzice bardzo chcą mieć zdjęciowy reportaż z porodu, ale personel szpitalny nie chce?

Tak. Uzyskanie zgody jest największym wyzwaniem. W jednym ze szpitali uzyskałam zgodę dopiero po bardzo długim staraniu, a w drugim – odmowę. Próbowalam różnymi metodami. To był bardzo długi proces. Myślę, że wiele osób z medycznego środowiska nie ma świadomości, że dla innych poród to nie tylko medyczne procedury, ale również relacje, emocje... Brak zgody na obecność doświadczonego fotografa odbiera rodzicom możliwość zatrzymania w kadrach tak ważnej historii. Młodsze pokolenie położnych to osoby otwarte, widzą piękno naro-

dzin. Jednak pokolenie starszych ma inne doświadczenia – często uważają, że poród to nie jest coś, co warto zatrzymać w pamięci. Kiedyś pani anestezjolog, obecna przy porodzie, zapytała mnie: co pani tu fotografuje? Powiedziałam, że wszystko: relacje, dotyk, nie tylko te czysto medyczne sytuacje. Widać było, że troszkę zrozumiała, ale nie do końca (śmiech). Jeden z lekarzy ginekologów też mnie kiedyś zapytał, co ja chcę fotografować. Przecież tutaj nic nie ma! Krocze pani będzie fotografować? – dziwił się. Pokazałam mu reportaże z porodu domowego i z kliniki. Zobaczył różne momenty, które dzieją się pomiędzy medycznymi procedurami – bliskość, napięcie, emocje, jak tata trzyma mamę za rękę, ale też uchwycony moment, kiedy wszyscy się śmieją, jedzą. I w końcu jak przytulają dziecko.

I jak zareagował?

Powiedział: Teraz wiem, co pani chce fotografować. Po czym zapytał: A jak jest podczas porodu z cesarką? Co pani pokazuje? Odpowiedziałam, że pokazuję pewne elementy procedur medycznych, ale to też jest coś, dzięki czemu kobiety się uczą, osławiają strach, bo widzą, jak to wygląda. Widzą, że to nie jest tak, jak się większości wydaje, że to prosty zabieg. To jest poważna operacja, ale też są przy tym bardzo duże emocje. Fotografuję i mamę, i personel – jeżeli się zgodzi. Te porody – naturalny i za pomocą cesarskiego cięcia – różnią się przede wszystkim szybkością. Bo emocje podczas jednego i drugiego są tak samo duże.

Jednak fotografowanie cesarki jest chyba dużo trudniejsze?

Jest trudniejsze technicznie, bo na sali operacyjnej mogę stać tylko w jednym miejscu i nie wolno mi niczego dotykać – mam więc bardzo ograniczone pole manewru. Jeżeli postawią mnie w miejscu, gdzie nie będę miała dobrego



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW

Zdjęcia Aliny Gabrel-Kamińskiej wykonane podczas porodów domowych. Jedna z fotografii – „Released” (powyżej) – zdobyła nagrodę Silver Award oraz Members’ Choice Award w prestiżowym konkursie IAPBP

widoku - to nie zrobię tego, co bym chciała. Ale na razie widzę otwartość w klinice, w której mogę robić porodowe zdjęcia, więc to mnie cieszy. Rozcięcie powłok brzusznych czy wyciąganie dziecka - w emocjach i w kadrach to jest coś pięknego. Na zdjęciach już widać twarz dziecka i to poczucie, że mama zobaczy ją dopiero za chwilę... Maluszka pokazują jej tylko przez moment, dają do pocałowania i zabierają. Ja też wtedy idę na pierwsze spotkanie taty z dzieckiem, kiedy może je zobaczyć i przytulić.

Wspomniałaś o wielkich emocjach rodziców, którym rodzi się dziecko. Ale chciałam też zapytać o twoje emocje - czy łyzy u ciebie nadal się pojawiają?

Już mniej, ale przy każdym porodzie mocno się wzruszam. Przy pierwszym porodzie bardzo płakałam, razem z rodzicami. Chłonę te ich emocje, ale staram się też zatrzymywać kadry, fotografować, jak rodzice płaczą. Jakbym sama się rozkleiła, to w ogóle żadnych zdjęć bym nie zrobiła (śmiech).

Ostatnio jedna z twoich porodowych fotografii - „Released” - zdobyła Silver Award oraz Members’ Choice Award w prestiżowym konkursie IAPBP.

Pierwszy raz wysłałam zdjęcia na taki stricte porodowy konkurs. Moja nagroda to dyplom International Association of Professional Birth Photographers. To największe międzynarodowe stowarzyszenie fotografów porodowych z siedzibą w Australii. Moje zdjęcie nagrodzono srebrnym laurem w kategorii Delivery oraz

Members’ Choice Award, które są przyznawane w głosowaniu przez profesjonalne fotografki porodowe z całego świata! Te zdjęcia pochodzą z przepięknego porodu, który miałam okazję fotografować w listopadzie 2025 roku. Mama zgodziła się na publikację tych zdjęć. To był już jej czwarty poród i był wspaniały.

Spotkałaś się wcześniej z tą rodziną, aby omówić zdjęcia?

No właśnie nie. Zazwyczaj umawiam się z rodzicami dużo wcześniej i czekam na telefon z informacją, że poród się rozpoczął, ale na ten poród nie miałam fotograficznego zlecenia. To był trochę inny przypadek. Moja znajoma miała kręcić film na zaliczenie do szkoły o tym, jak się pracuje przy porodach. Byłam tym podekscytowana, tylko musiałam znaleźć rodzącą mamę. Wiedziałam, że do szpitala czy też kliniki nie wpuszczają kolejnej osoby, więc taki poród od razu odpadał. Jednak dzięki zaprzyjaźnionej położnej, która przyjmuje porody domowe, udało mi się znaleźć mamę, której zbliżał się termin porodu. Powiedziałam, że zrobię zdjęcia bez wynagrodzenia, a rodząca mama będzie miała na pamiętkę i zdjęcia, i film. Tylko warunek jest taki, że zgodzi się na publikację. Zgodziła się. Przed porodem rozmawiałymy przez telefon, wszystko ustaliśmy i kiedy już dostałam sygnał, że poród się zaczął, zadzwoniłam od razu do tej dziewczyny od filmu. Okazało się jednak, że ją to przerosło i nie zdecydowała się jechać na poród. Byłam na nią zła, ale sama pojechałam. Było już ciemno. Usłyszałam, że w jednym z domów płacze dziecko. Pomyślałam, że się spóźniłam.

Na szczęście okazało się, że to płakało starsze dziecko. Weszłam tam zestresowana, patrzeć - a mama stoi uśmiechnięta i rozmawiają z położną. To był długi, ale i piękny poród. Było dużo śmiechu, a to nagrodzone potem zdjęcie powstało już pod koniec. Asia rodziła bardzo długo, bo skurcze zaczęły się dużo wcześniej. Ja byłam tam koło godziny 20, a ona urodziła po 6 rano i była wykończona. Była tak zmęczona, że nie dała rady stać na nogach - mąż ją trzymał. To nagrodzone zdjęcie wykonałam w momencie, kiedy Asia poczuła już ulgę i mogła odpocząć z tym małym dzieckiem na piersi.

Co jest najpiękniejsze w fotografii porodowej?

Wszystko. To oczekiwanie, te emocje. Nawet nie sam moment porodu, chociaż on jest kulminacyjny. Piękne jest to, jak się to wszystko rozwija. Piękna jest mama, która - mimo że jest jej bardzo trudno - to ma ogromną siłę i robi wszystko, by jej dziecko przyszło na świat. Piękny jest tata, który ją wspiera, a gdy widzi swoje dziecko po raz pierwszy, to płacze. Piękne jest to, że kobiety później mogą zobaczyć na zdjęciach, jak bliscy je wspierali. Nie umiem tego słowami opisywać. Mogę to pokazać na zdjęciach.

Zdarzają się też pewnie trudne chwile?

To te, kiedy nie możesz pomóc... Kiedy widać, że rodzącą mamę bardzo boli, a ja nie mogę nic zrobić. Mogę jedynie trzymać ją za rękę. Co też robię. Czasem więc odkładam aparat i po prostu jestem obok. Trzymam za rękę lub masuję plecy.



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW



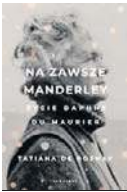
A może Kartaginy nie należało zniszczyć?
Historię antyku poznajemy zwykle przez pryzmat starożytnej Grecji i Rzymu. Tu dostajemy perspektywę odwrotną - a więc patrzymy na Rzym oczami Kartaginy. **Eve MacDonald „Kartagina. Nowa historia starożytnego imperium”,** wyd. Rebis, Poznań 2026, cena 79 zł



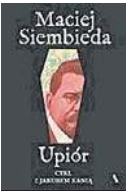
Jedna z ważniejszych bitew morskich XX w.
W maju 1942 r. odbyła się pierwsza bitwa morska z udziałem lotniskowców. Teraz poznajemy jej szczegóły. **Michał A. Piegzik „Bitwa na Morzu Koralowym. Japońska ofensywa i pierwsza w dziejach bitwa lotniskowców”,** wyd. Znak, Kraków 2026, cena 119,99 zł



Si vis pacem, para bellum
Spodziewaj się niespodziewanego - także wojny. Autorzy tej książki sprawdzają, czy Polska o tym pamięta. **Wojciech Kozioł, Bartłomiej Wypartowicz „Wojna, której nie chcemy. Ale czy jesteśmy na nią gotowi?”,** wyd. Przeciwnicy, Warszawa 2026, cena 59,90 zł



Prawdziwa autorka „Ptaków” Hitchcocka
Daphne Du Maurier to jedna z najbardziej znanych pisarek XX w., autorka choćby sfilmowanych później „Ptaków” czy „Rebeki”. Teraz poznajemy jej biografię. **Tatiana De Rosnay „Na zawsze Manderley. Życie Daphne Du Maurier”,** wyd. Albatros, Warszawa 2026, cena 59,90 zł



Reymont i tajemnica zakładu pogrzebowego
Co ma wspólnego spirytyzm Władysława Reymonta ze współczesnością? W tym kryminale rzeczywistość z początku XX w. mocno przenika się z pracą śledczych - i tajemnicą zakładu pogrzebowego. **Maciej Siembieda „Upiór”,** wyd. Agora, Warszawa 2026, cena 56,99 zł



Gdy superbohaterowie tracą moce
Superbohaterowie łączą siły - bo tylko razem są w stanie złe moce. Jest im tym trudniej, gdyż stracili swoje supermoce. Zebrani razem w Fortecy Samotności opracowują plan kontrataku. **Mark Waid, Dan Mora „Władza absolutna”,** wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 129,99 zł



Dlaczego grecka kuchnia jest tak dobra?
Każdy kto odwiedził Grecję, wie, że tamtejsza kuchnia jest przepyszna, ale też bardzo oryginalna. Ta książka wyjaśnia jej specyfikę. **Tomasz Piotr Kozłowski „Szafran, mastyks i figa. Greckimi drogami”,** wyd. Powergraph, Warszawa 2026, cena 99 zł



Pilipiuk wraca do swoich bohaterów
Zbiór opowiadań autora znanego z cyklu powieści o Jakubie Wędrowyczcu. Tego bohatera tutaj nie ma, ale poznajemy losy innych ulubionych postaci Pilipiuka: dr Skórzewskiego i Roberta Storma. **Andrzej Pilipiuk „Biały dom”,** wyd. Fabryka Słów, Warszawa 2026, cena 59,90 zł



Wzlot i upadek zakonu Templariuszy
Templariusze - także w Polsce - obrośli wieloma mitami. Jones odsiewa legendy od faktów i opisuje, jak ten zakon zdobył swoją pozycję. **Dan Jones „Templariusze. Rozkwit i upadek zakonu świętych wojowników”,** wyd. Znak, Kraków 2026, cena 99,99 zł



Silne kobiety epoki Wikingów
Osadzona epoki Wikingów historia dwóch kobiet, które walczą o swoje ambicje w bardzo męskim świecie. Sytuację komplikuje pojawienie się chrześcijaństwa. **Elżbieta Cherezińska „Saga Sigrun. Północna droga. Ja jestem Halderd”,** wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2026, cena 79,99 zł



Czy współczesność rymuje się z modlitwą
Biskup Hughes pokazuje, jak współczesny, pełen bodźców, styl życia można połączyć z modlitwą. Inspiracji szuka o dawnych świętych, głównie Św. Benedykta. **Alfred C. Hughes „Święty rytm życia. Śladami mistrzów modlitwy”,** wyd. W Drodze, Poznań 2026, cena 44,90 zł



Klimat wielkiej rywalizacji służb
Kolejna powieść autora słynnych „Kulawych koni”. Znowu otrzymujemy grę wywiadów, szpiegowskie szachy i duszny klimat wielkiej rywalizacji służb niczym w latach zimnej wojny. **Mick Herron „Tajne godziny”,** wyd. Insignis, Kraków 2026, cena 49,99 zł

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?

Telefonicznie: 94 347 35 12
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń:

Oddział Koszalin:

ul. Partyzantów 17, 75-411 Koszalin, tel. 94 347 35 12

Oddział Słupsk:

ul. Henryka Pobożnego 19, 76-200 Słupsk, tel. 59 848 81 03

Oddział Szczecin:

Al. Niepodległości 26/U1, 70-412 Szczecin, tel. 91 48 13 310

- RUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH:
- NIERUCHOMOŚCI

■ HANDLOWE

■ MOTORYZACJA
- FINANSY/BIZNES

■ NAUKA

■ PRACA
- ZDROWIE

■ USŁUGI

■ TURYSTYKA
- BANK KWATER

■ ZWIERZĘTA

■ ROŚLINY, OGRODY
- MATRYMONIALNE

■ RÓŻNE

■ KOMUNIKATY
- ŻYCZENIA

■ /PODZIĘKOWANIA

■ GASTRONOMIA
- ROLNICZE

■ TOWARZYSKIE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIMY Twoje mieszkanie w Słupsku w każdym stanie technicznym i prawnym także udziały w nieruchomościach. Tel. 59 727 60 94

MIESZKANIA DO WYNAJĘCIA

KAWALERKA ul. 1-go Maja Szczecin, 537-067-855.

LOKALE UŻYTKOWE - KUPIĘ

KUPIĘ Twój problem z udziałem w nieruchomości, spadku ! Nie wiesz co robić, nie dogadujesz się z rodziną, współwłaścicielem? Sprzedaj mi swój udział ! 602738759

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

DZIAŁKA, jez. Rydzewo, k/Drawska Pom. 1,15ha z linią brzegową 46m uzbr. 18zł/m², 502-914-559.

GOSPODARSTWA

SPRZEDAM ziemię rolną: pszenrol. com.pl

Handlowe

AGD

LODÓWKA duża sprzedam 576204945.

MATERIAŁY BUDOWLANE

SPRZEDAM stemple budowlane, betoniarkę, żurawik, przyczepę kempingową, 501-092-316.

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek. Codziennie. Koszalin, 605-284-364.

Usługi

AGD RTV FOTO

PRALKI naprawa w domu, 603 775 878

BUDOWLANO-REMONTOWE

MALOWANIE _DACHÓW. 788-016-988.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 7 dni od 1050 zł z 30% dofin. dla emerytów/ rencistów, tel 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

AUTOREKLAMA

Polecamy →

strona **zdrowia**

Czytaj dla zdrowia

stronazdrowia.pl

CZYTELNIA

Co brat Franciszek znalazł
w XXVI w. na pustyni Utah?

„Kantyczka dla Leibowitza” (woryginalie „A Cantic for Leibowitz”) to dość dziwny tytuł jak na powieść z gatunku s.f., prawda? Dlaczego zatem jej autor - Walter M. Miller Jr. - uparł się, by tak właśnie nazwać swoje najśłynniejsze futurystyczne dzieło, wydane w 1959 r.?

Zachować co zostało

Powieść została podzielona na trzy części: „Fiat homo” (łac. „Niech stanie się człowiek”), „Fiat lux (łac. „Niech stanie się światłość”) i „Fiat Voluntas Tua” (łac. „Bądź wola Twoja”). Już same tytuły odnoszą czytelnika do chrześcijaństwa, historii i spraw ostatecznych.

Oto po wojnie jądrowej pozostali przy życiu ludzie atakują tych, których uznali za winnych katastrofy - naukowców i techników. Świat pogrąża się w szaleństwie i chaosie, a ludzkość cofa się do poziomu barbarzyństwa. W tych nowych wiekach ciemnych mnisi z Albertyńskiego Zakonu Leibowitza, żyjący w klasztorze na pustyni w stanie Utah, gromadzą i kopiują fragmenty starych tekstów, nawet jeśli ich już nie rozumieją.

Miller raczej nie znał powieści Hanny Malewskiej „Przemija postać świata” z 1954 r., która opisała upadek starożytnego rzymskiego świata i ocaleniu kultury chrześcijańskiej w trudnych czasach, ale jego intuicja podążała najwyraźniej tym samym tropem. Nie brak krytyków, wedle których „Kantyczka...” mogła mieć wpływ na powstanie i ewolucję tzw. nurtu clerical fiction.

Raczej nic już nie napiszę...

Sklon w kierunku religijnej eschatologii tłumaczy się w przypadku Millera epizodem z jego wojennego CV. Podczas II wojny światowej służył w USAF jako radiotelegrafista i strzelec i wziął udział m.in. w bombardowaniu opactwa benedyktyńskiego na Monte Cassino, co było dla niego dość wstrząsającym przeżyciem. Po wojnie przeszedł na katolicyzm.

Po ogromnym sukcesie „Kantyczki...” popadł w literacką niemoc i niewiele już opublikował. W ostatnich latach życia walczył zaś bardziej z depresją niż z brakiem weny. Popełnił samobójstwo podczas pracy nad kontynuacjami „Kantyczki...”, powieścią „Święty Leibowitz” i „Dzikokonna, ukończonymi później przez Terry’ego Bissona.

To nie powieść, to wyznanie

Już po kilku stronach lektury można się zorientować, że powieść Millera to znacznie więcej niż tylko opowieść s.f. To refleksja nad cyklicznością historii, naturą człowieka i starciem pomiędzy dobrem a złem. Czy umiejętność budowania - pyta autor „Kantyczki...” - tożsama z umiejętnością niszczenia, jest naszym nieuniknionym przeznaczeniem?

I jeszcze jedno: powieść porównywana jest często do „Folwarku zwierzęcego” czy „Roku 1984”, czyli stała się elementem kanonu literatury angielskojęzycznej i fantastycznonaukowej. Trudno to uznać za przypadek. **margra**



Walter M. Miller Jr.,
„Kantyczka dla Leibowitza”, wyd. Rebis,
Poznań 2026,
cena 54,99 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

AGNIESZKA
KACZOROWSKA

Ma różne
emocje

Tancerka podróżuje teraz po Polsce ze spektaklem „Siedem”, w którym partneruje jej obecny ukochany - Marcin Rogacewicz. W efekcie jej Instagram pęka w szwach od idyllicznych obrazków zza kulis. Ostatnio Kaczorowska postanowiła pokazać, że czasem nie jest tak różowo. Wrzuciła kilka czarno-białych kadrów i napisała: „Są różne emocje. Od stresu, po ekscytację. Czasem jest siła i energia, a czasem lekkie zmęczenie. Czasem to, z czym w danym dniu, tygodniu, mierzymy się w innych sferach życia, wpływa na stan ducha w dniu grania” - wyznała. Dodała jednak: „Taki jest nasz zawód. Zmienny. Nieprzewidywalny. Zaskakujący. I polega na zrozumieniu przepływu, tego między nami a wami i tego między sobą. Dlatego jest taki ciekawy”.

MARIA PRAŻUCH-PROKOP

Wzięła jogowy
rozwód

Po ogłoszeniu rozstania z popularnym prezydentem jego żona z miejsca stała się celebrytką. Ale to tylko ją cieszy - bo może w swych social mediach promować treści związane z jogą, którą się profesjonalnie zajmuje. Kilka dni temu była gościem podcastu „Super Mamy”, w którym oczywiście opowiedziała o rozstaniu. - To po prostu naturalnie wypłynęło z tego, jacy my jesteśmy ze sobą. I wypłynęło to też z jogi, uważam. Bo było bardzo dużo jogi w tym. To było bardzo dużo spokoju, obserwacji, niereagowania, dawania czasu, żeby rzeczy się ułożyły, żeby każdy był w tym samym miejscu. Żeby to wszystko było w takim dobrym zespoleńiu jogowym. Rozwód jogowy. Po jogowemu - podsumowała.

MAŁGORZATA ROZENEK-
-MAJDAN

I nieudany
naleśnik

Wszyscy wiemy, że celebrytka jest obecnie żoną Radosława Majdana, a wcześniej była związana z Jackiem Rozenkiem. Mało się mówi o jej pierwszym mężu - Łukasz



FOT. ADAM JANOWSKI

Monika Richardson nie epatuje swoim życiem prywatnym, ale jest bardzo dumna ze swojej córki

Bukaczewskim. Teraz prezydentka opowiedziała o tym związku w podcaście Bratnie Dusze. - Ja pierwszy ślub wzięłam na studiach z moim takim przyjacielem studenckim. To małżeństwo trwało kilka miesięcy. Trochę to było tak, że wszyscy wokół mówili, kiedy ślub, kiedy ślub, bo my byliśmy taką parą, która razem chodziła. No, ja sobie pomyślałam, że fajnie by było przeżyć ślub. Impreza była, wszyscy się fajnie bawili. Ale to było po prostu tak, jak pierwszy naleśnik, no trochę go robisz i on nie wychodzi - stwierdziła.

MAJA RUTKOWSKI

Jest w innej
lidze

Żona słynnego detektywa robi wszystko, aby nie pozostać w jego cieniu. Ostatnio pochwaliła się na Instagramie... biżuterią na zębach. Rutkowski wrzuciła filmik, na którym uśmiecha się szeroko. Na śnieżnobiałych zębach widać ozdoby w postaci złota i rubinów. „Poszłam do dentysty i wyszłam z upgradem. Złoto + rubiny na zębach. I teraz pytanie do was, czy to już level „Wow, jaki vibe”, czy raczej „Mmm... odważnie, ale czy nie za bardzo?” Bo wiecie diamenty na zębach już trochę się oswoiły, ale złoto? Z rubinami? To już inna liga” - podpisała nagranie. Część obserwatorów była zachwycona ozdobami, a część uznała to za idiotyczny pomysł. Najbardziej celny okazał się jeden komentarz: „Wyglądasz, jakbyś miała jedzenie na zębach”.

PIOTR GĄSOWSKI

Wjechał
do rowu

Zarówno Piotr Gąsowski, jak i Maciej Dowbor i Joanna Koroniewska mają domy w Hiszpanii, które znajdują się w tej samej miejscowości. Kilka dni temu aktor opisał na Instagramie przygodę, jaka przytrafiła mu się po drodze do swych przyjaciół. „Biorę skuter, zamiast wziąć samochód i decyduję się jechać na skróty. Skuter podjeżdża pod górę, nagle staje i robi „puf”. Właśnie tak to wygląda. Wleciałem w rów, urwałem sobie lusterko, szyba stłuczona, nie mogę go wydościć. Maciek i Tomek pomogli mi wyciągnąć mojego rumaka z rowu i pojechaliśmy już razem do Dowborów. To był uroczy wieczór, pełen wspomnień!” - podsumował.

MONIKA RICHARDSON

Jest pełna
wdzięczności

Prezydentka nie epatuje swoim życiem prywatnym, ale wiadomo, że ma dwójkę dzieci z byłym mężem Jamiem Malcolmem - syna Tomasza i córkę Zofię. Kilka dni temu Zofia obchodziła 21. urodziny. Z tej okazji Richardson wrzuciła na Instagram zdjęcie dziewczyny. „Córka Zofia. Osoba empatyczna i sympatyczna. Mądra i pełna wdzięku. Artystycznie utalentowana i z wielkim poczuciem humoru. No i piękna też. Serce przepelnia mi miłość i wdzięczność za nią” - napisała.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Dzień sprzyja działaniu, lecz uważaj na impulsy. Horoskop dzienny mówi, że spokój da przewagę i lepsze decyzje.

Ryby (19.02 - 20.03)

Skup się na relacjach z otoczeniem. Horoskop na dziś wróży, że mały gest może znaczyć więcej niż wielkie słowa.

Baran (21.03 - 19.04)

Komunikacja będzie kluczem. Horoskop dzienny na piątek radzi słuchać uważnie, bo ktoś chce przekazać ważną informację.

Byk (20.04 - 20.05)

Emocje mogą falować, ale intuicja cię poprowadzi. Horoskop dzienny radzi nie ignorować przeczuć.

Bliznięta (21.05 - 21.06)

Twoja energia będzie przyciągać uwagę. Horoskop na dziś sugeruje wykorzystać ją mądrze, by osiągnąć coś naprawdę ważnego.

Rak (22.06 - 22.07)

Dzień sprzyja porządkom i planowaniu. Horoskop dzienny na piątek mówi, że małe kroki dziś stworzą solidne fundamenty jutra.

Lew (23.07 - 22.08)

Szukaj równowagi między pracą a odpoczynkiem. Horoskop dzienny zapowiada, że harmonia pozwoli uniknąć zbędnych napięć.

Panna (23.08 - 22.09)

Intensywne emocje mogą cię zaskoczyć. Horoskop na dziś podpowiada, by zachować kontrolę i działać z rozumą, a nie impulsem.

Waga (23.09 - 22.10)

Pojawi się okazja do nauki lub podróży. Horoskop dzienny na piątek radzi zachować otwartość na nowe doświadczenia i ludzi.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Skoncentruj się na celach. Horoskop na dziś zapowiada, że wytrwałość dziś przyniesie efekty, choć mogą one być subtelne...

Strzelec (22.11 - 21.12)

Twoje pomysły będą cenne. Horoskop na dziś radzi podzielić się nimi, bo ktoś może pomóc ci je zrealizować.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Dzień sprzyja refleksji i twórczości. Horoskop dzienny na piątek radzi znaleźć chwilę dla siebie i pozwolić myślowo swobodnie płynąć.

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 28 utworzą rozwiązanie: aforyzm Adama Decowskiego.

ROZWIĄZANIE: POETKI TEZ UŻYWAJĄ MĘSKICH RYMOW.

Iga Świątek zaczyna turniej w Rzymie. Pozostali już odpadli

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

TENIS. **Iga Świątek zagra dzisiaj swój pierwszy mecz w turnieju WTA 1000 na kortach ziemnych w Rzymie. Jej rywalką będzie reprezentantka USA Caty McNally.**

Rozstawiona z numerem trzecim w turnieju Świątek w pierwszej rundzie miała wolny los. 24-letnia McNally w rankingu zajmuje 63. miejsce. To będzie ich trzecie spotkanie - Polka wygrała oba wcześniejsze, najpierw 6:4, 6:4 w ćwierćfinale Ostrava Open 2022 na kortach twardych, a potem 5:7, 6:2, 6:1 w drugiej rundzie Wimbledonu 2025 na kortach trawiastych. Tenistka z USA w swoim dorobku ma dwa wygrane turnieje WTA 125, a najwyższą w klasyfikacji zajmowała 54. pozycję.

Schody szybko się zaczynają

Jeśli Świątek pokona Amerykankę, w trzeciej rundzie na Ige czekać będzie Emma Navarro (USA, WTA 28) lub Elisabetta Cocciaretto (Włochy, WTA 41). W ewentualnym meczu 1/8 finału raszyniankę czeka prawdziwy sprawdzian. Jej rywalką może być trenowana przez byłego szkoleniowca Świątek Tomasza Wiktorowskiego Japonka Naomi Osaka, która może stanowić dla Polki nie lada wyzwanie.

O półfinał nasza reprezentantka może zagrać z rozstawioną z numerem 5 Amerykanką Jessicą Pegulą lub Czechką Karoliną Muchovą. W półfinale trzykrotnej królowej Rzymu stanąć może na drodze reprezentująca Kazachstan Rosjanka Jeleną Rybakina lub zwyciężczyni nie-



FOT. JAKUB PIKULIK

Iga Świątek w tym roku nie zdołała awansować choćby do półfinału jakiegokolwiek turnieju WTA...

dawnego „tysięcznika” w Madrycie Ukrainka Marta Kostniuk. Dopiero o tytuł Świątek może zagrać z liderką rankingu Białorusinką Aryną Sabalenką. W tym roku raszynianka nie zdołała ani razu awansować chociażby do półfinału jakiegokolwiek turnieju, w którym brała udział.

Polka w stolicy Włoch pojawiła się już w poniedziałek. Razem z kanadyjskim tenisistą Felixem Auger-Aliassime wzięła udział jako tak zwana sierotka w losowaniu drabinek turnieju głównego zarówno u mężczyzn, jak i u kobiet. Uroczystość odbyła się na Piazza del Popolo. Przez ostatnie dni trenowała w Rzymie, m.in.

na specjalnym pokazowym korcie.

- Atmosfera była cudowna. Jestem szczęśliwa, że miałam szansę tam zagrać, bo to było świetne doświadczenie w tak ładnym otoczeniu. Przyszło wielu Polaków i Rzymian, byli bardzo podekscytowani - powiedziała Świątek.

Świątek oceniła nowego trenera

Podczas jednej z konferencji Świątek bardzo pozytywnie oceniła też swoją współpracę z nowym trenerem Hiszpanem Francisco Roigiem. Podkreśliła, że bardzo dobrze się rozumieją. - Mam taką samą wizję tego, jak powinien grać, a on

pomaga mi to osiągnąć. Czuję, że rozumiemy się nawzajem bardzo dobrze. Mam różne opcje podczas treningów, co jest wspaniałe, bo nie byłam zadowolona z tego, jak grałam parę miesięcy temu. Czasem wracam do starych przyzwyczajeń. Będę potrzebowała trochę czasu, by robić to, czego chce Francisco, ale idzie nam bardzo dobrze. To jest proces. Podczas każdego treningu uczę się czegoś nowego - wyjaśniła Iga.

Polka wygrała turniej na Foro Italico w Wiecznym Mieście w 2021, 2022 i 2024 roku. W ubiegłorocznej edycji dotarła do trzeciej rundy, w której przegrała z Amerykanką Danielle Collins. W tym roku tytułu będzie bronić Włoszka Jasmine Paolini.

Hurkacz, Fręch i Linette już odpadli

Z turniejem w Rzymie bardzo szybko pożegnały się pozostałe reprezentantki Polski. Już w 1. rundzie „Internazionali BNL d'Italia” (pula nagród: 8 312 293 dolarów) Magdalena Fręch nie sprostała Filipince Alexandrze Eali, ulegając 0:6, 6:3, 4:6, a Magda Linette przegrała z Niemką Tatjaną Marią 0:6, 3:6.

Formy wciąż nie może odnaleźć Hubert Hurkacz. Wrocławianin w 1. rundzie turnieju mężczyzn ATP 1000 w Rzymie o puli nagród 8 312 293 dolarów został ograny przez Niemca Yannicka Hanfmana 7:6(3), 6:7(2), 2:6. Spotkanie na „Campo Centrale” na obiektach Foro Italico trwało dwie godziny i 21 minut. Od ponad dwóch tygodni trenerem Wrocławianina jest Francuz Gilles Cervary - były szkoleniowiec m.in. Rosjanina Daniila Miedwediewa.

©©

Barcelona okrok od tytułu. Czyt to ostatnie El Clasico Roberta Lewandowskiego?

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **FC Barcelona 10 maja może świętować kolejne mistrzostwo Hiszpanii. Do wywalczenia tytułu ekipie z Camp Nou brakuje zaledwie punktu, ale rywalem będzie teraz Real Madryt.**

Cztery kolejki przed końcem sezonu, Duma Katalonii ma 11 punktów przewagi nad Realem Madryt i tak naprawdę, podopiecznym Hansiego Flicka wystarczy remis, aby zagwarantować zdobycie tytułu.

W tym sezonie oba kluby mierzyły się dwukrotnie. Jesienią, w lidze górą był Real, wygrywając 2:1. Barcelona zdążyła już jednak wziąć rewanż, pokonała „Królewskich” w styczniowym finale Supercuparu 3:2, a jedną z bramek w tym starciu strzelił Robert Lewandowski.

W ostatnich tygodniach coraz częściej mówi się o jego przyszłości. Obecny kontrakt naszego rodaka wygasa wraz z końcem sezonu, ale wciąż nie wiadomo,

czy doświadczony napastnik zostanie na Camp Nou. Kataloński klub proponuje, aby przedłużyć umowę, tyle że na innych niż dotąd warunkach. Kapitan reprezentacji Polski nie ma jednak zamiaru - jak wszystko wskazuje - zgadzać się na drastyczną obniżkę pensji i przypisanie roli rezerwowego. Wydaje się więc, że to może być ostatnie El Clasico z udziałem Lewandowskiego.

Nie wiadomo oczywiście, czy Robert znajdzie się w wyjściowym składzie na El Clasico, czy jako dzoker usiadzie na ławce. Nie jest natomiast tajemnicą, że w Realu panuje burza wokół Kyliana Mbappe. Francuz walczył z czasem, aby wrócić do pełnej sprawności na ten mecz. Serwis „Cadena SER” podaje, że Mbappe nie zagra jednak w El Clasico, ale nie z powodu urazu, a przez... konflikt z trenerem.

El Clasico FC Barcelona - Real Madryt w niedzielę 10 maja o godzinie 21:00. Transmisja z Camp Nou w Canal + Sport 3 i Eleven Sports 1. ©©



FOT. GRZEGORZ WAJDA

Czy niedzielne El Clasico będzie ostatnim z udziałem Roberta Lewandowskiego jako piłkarza Barcelony?

Poznaliśmy finalistów Ligi Mistrzów. PSG przed niepowtarzalną szansą

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **PSG awansowało do finału po wygraniu dwumeczu z Bayernem (7:6). W rewanżu padł remis 1:1, a o losach rywalizacji przesądziły gole Ousmane'a Dembele i Harry'ego Kane'a.**

Piłkarze PSG po szalonym dwumeczu z Bayernem awansowali drugi rok z rzędu do finału Ligi Mistrzów. Drużyna prowadzona przez Luisa Enrique w rewanżu błyskawicz-

nie objęła prowadzenie - już w 3. minucie spotkania Dembele dał radość przyjezdnym. Bayern zdołał odpowiedzieć dopiero w doliczonym czasie. Do siatki trafił Kane, dla którego był to już 55. gol w sezonie.

Kontrowersje w roli głównej

Więcej niż o samej grze po spotkaniu mówiło się jednak o kontrowersjach, które pojawiły się w pierwszej połowie. Sędzia João Pedro Pinheiro z Portugalii nie ukarał Nuno

Mendesza za zgranie ręką, a później nie podyktował rzutu karnego dla Bayernu. Vitorino wybił bowiem piłkę ze swojego pola karnego, ale przypadkowo trafił nią w rękę swojego kolegi João Nevesa. Decyzja? Brak jedenastki dla gospodarzy, którzy momentalnie ruszyli do niego z pretensjami.

Jak się okazało, arbiter podjął słuszną decyzję w myśl obowiązujących interpretacji.

- Bardzo często o tym mówiłem. To jest taki przepis, który powinienem szczerze, nie podoba mi się, ale pragnę podkre-

ślić - bo widzę, że piłkarze Bayernu na czele z trenerem tego nie znali - że nastrzelenie partnera z drużyny w rękę, kiedy ten nie miał czasu na reakcję, nie jest przewinieniem - tłumaczył na antenie Canal+ Sport ekspert sędziowski Adam Lyczmański.

Paryżanie jak... Real Madryt?

W finale w Budapeszcie PSG będzie broniło tytułu wywalczonego przed rokiem po efektownym zwycięstwie 5:0 nad Interem Mediolan. Paryżanie

staną przed szansą zapisania się w historii - jako druga drużyna, po Realu Madryt, która wygra rok po roku elitarny rozgrywkę spod szyldu UEFA.

Tym razem rywalem będzie Arsenal Londyn, który osiągnął drugi finał Champions League w historii. Poprzednio Kanonierzy walczyli o to trofeum dokładnie 20 lat temu, przegrywając z FC Barceloną.

Zdecydowany faworyt bukmacherów

Podopieczni Mikela Artety w półfinale wygrali rewanż

z Atletico Madryt 1:0 (a cały dwumecz 2:1). Nie jest tajemnicą, że przed decydującym starciem w Budapeszcie faworytem bukmacherów będzie PSG. Francuski zespół miał znacznie trudniejszą drogę do finału - po drodze eliminował nie tylko Bayern, ale również Liverpool i Chelsea FC. Arsenal przed półfinałem mierzył się natomiast ze Sportingiem Lizbona oraz Bayerem Leverkusen.

Finał odbędzie się w sobotę, 30 maja, o godzinie 18.00. ©©

SPORT

www.sportowy24.pl

HOKEJ NA LODZIE

Polska przegrała z Kazachstanem, ale wciąż walczy o awans do Elity.

Hokejowa reprezentacja Polski przegrała bardzo ważny mecz z Kazachstanem 2:3 (1:0, 0:0, 1:3) w meczu mistrzostwa świata dywizji 1A, które odbywają się w So-snowcu.

Biało-Czerwoni wciąż walczą o awans do Elity. Ten wywalczą dwa najlepsze zespoły, a nasza drużyna po trzech kolejkach zajmuje czwarte miejsce w tabeli, ale szans jeszcze nie straciła.

Dziś Polska zagra z Japonią (godz. 19.30), a w piątek z Litwą (godz. 19.30). Oba mecze musi wygrać i liczyć na korzystne wyniki innych spotkań.

(stan)

PIŁKA NOŻNA

Chojniczanka Chojnice zagra w Nowym Targu.

Chojniczanka zmierzy się w Nowym Targu z Podhalem w kolejnym meczu drugiej ligi. Początek spotkania w sobotę o godz. 16.

(stan)

Pomorski finał w deszczu i zimnie

**Paweł Stankiewicz**

pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. W trudnych warunkach rywalizowały zespoły U-12 w wojewódzkim finale U-12 w turnieju o Puchar Tymbark.

Turniej o Puchar Tymbark to świetna szansa na start do dużej piłkarskiej kariery. Świetnymi przykładami są tutaj chociażby Piotr Zieliński czy Ewa Pajor. Oni też zaczęli od gry w zawodach o Puchar Tymbark, a dziś osiągają sukcesy grając w czołowych klubach świata. Zawodniczki i zawodnicy rywalizujący na stadionie przy ul. Traugutta w Gdańsku też chcą marzyć w przyszłości o piłkarskich karierach.

- Moim zdaniem jest to jedna z najlepszych imprez, jeżeli chodzi o piłkę nożną dla dzieciaków. Bierzymy udział od dziesięciu lat i to jest najlepszy dowód na to, że jak najbardziej nam się podoba. Mam nadzieję, że zawodniczki od nas w przyszłości zrobią karierę. Za wcześniej na takie oceny, bo na razie jeszcze jest to forma zabawowa. Oczywiście z już z treningami typowo piłkarskimi. Te dziewczynki, które reprezentują naszą szkołę, chodzą do jednej klasy piłkarskiej, więc już wiedzą, co mniej więcej chcą robić w przyszłości. Naszym celem jest to umożliwić i pomóc. Obecnie mamy sześć dziewczynek powołanych do kadry wojewódzkiej na pierwszą konsultację w ich

**Drużyny dzielnie walczyły o zwycięstwo**

kategorii wiekowych. Mam nadzieję, że uda się im spełnić marzenia, bo tak naprawdę o to chodzi - mówi Adam Dębiński, trener SP 48 Zaspas Gdańsk. - Każdy przyjechał tutaj walczyć o zwycięstwo. My też chcemy wygrać i zagrać na głównym boisku na PGE Narodowym w Warszawie.

Drużyna z Zaspas to marzenie spełniła prezentując fantastyczną skuteczność. W półfinale SP 48 Zaspas Gdańsk pokonała ZS Tuchomie 6:1, a w finale Czarownice z Debrzyna aż 11:12. Czarownice wyczarowały sobie finał na stadionie przy ul. Traugutta, ale zespół z Zaspas okazał się jednak za mocny, aby na-

wiązać wyrównaną walkę. Królową strzelczyń została Karina Woronowicz ze zwycięskiej drużyny z Zaspas, która strzeliła 16 goli.

Swoje marzenia mają młode zawodniczki z SP 48 Zaspas Gdańsk, Laura Zajackowska (11 goli) i Michalina Kołodziejczyk (10 goli).

- Chciałybyśmy pójść drogą Ewy Pajor i zagrać wspólnie w Barcelonie - powiedziały zgodnie Laura i Michalina.

Wśród chłopców faworytem była drużyna SP 5 Gdańsk. To zespół Lechii Gdańsk.

Tutaj doszło jednak do niespodzianki. Drużyna w drodze do finału pokonała Orzełki Cetniewo oraz SP 16 Słupsk. Mecz finałowy z PSP 1 Starogard Gdański zakończył się remisem 0:0, a w rzutach karnych wygrał zespół ze Starogardu Gdańskiego i będzie reprezentować Pomorze w finale ogólnopolskim 3 czerwca przed meczem Polska - Nigeria na PGE Narodowym w Warszawie.

Wyniki finału wojewódzkiego U-12 na Pomorzu Dziewczyny

Półfinały: ZS Tuchomie - SP 48 UKS Zaspas Gdańsk 1:6, Czarownice z Debrzyna - SP Czersk 2:1

Finał: SP 48 Zaspas Gdańsk - Czarownice z Debrzyna 11:1. 0 3 miejsce: ZS Tuchomie - SP Czersk 6:0

Chłopcy

Półfinały: SP 16 Słupsk - SP 5 Gdańsk 0:4, PSP 1 Starogard Gdański - SP 2 Bolszewo 3:2

Finał: SP 5 Gdańsk - PSP 1 Starogard Gdański 0:0 (rzuty karne 2:3). 0 3 miejsce: SP 16 Słupsk - SP 2 Bolszewo 1:4

© P

Tomasz Wójtowicz: Wstyd, że tak wyglądamy. Nie możemy się głaskać

Paweł Stankiewicz

pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Rozmowa z Tomaszem Wójtowiczem, piłkarzem Lechii Gdańsk, po porażce z Radomiakiem Radom, a przed meczem z Widzewem Łódź.

Tomek, delikatnie mówiąc, to mecz w Radomiu nie był dobry w twoim wykonaniu. Mam na myśli błędy, które popełniłeś przy pierwszym i trzecim gołu dla zespołu Radomiaka.

Myszę, że na pewno nie był. Nie tylko mój, ale nas wszystkich, o czym świadczy wynik. Nie wiem, czy jest sens więcej o tym rozmawiać.

Jakie znajdujesz przyczyny takiej gry w ostatnich tygodniach?

Gramy poniżej swojego poziomu. Na pewno mogę to powiedzieć za siebie. Oczekuję

od siebie dużo więcej i chciałbym więcej dawać drużynie. Jestem pod tym względem mocno zawiedziony swoją postawą. Jest to ciężki okres dla nas. Trzeba szukać przełamania w następnym meczu i pokazać, że z każdego gorszego momentu da się wyjść. I że jesteśmy na tyle dobrą drużyną, że potrafimy się podnieść.

Byliście chwaleni za grę, skuteczność, co dawało miejsce w środku tabeli i nagle w ostatnich czterech meczach zdobyliście jeden punkt. Co się zacięło?

Nie wygrywamy. To jest nam potrzebne. Potrzebujemy więcej odwagi w naszej grze i więcej pewności siebie. Więcej wiary w to, że jesteśmy wystarczająco dobrymi zawodnikami, żeby grać swoją piłkę, którą graliśmy wcześniej. Nikt nie jest zadowolony z tego, jak gramy. Każdy musi się mocno uderzyć w pierś, spojrzeć

**Tomasz Wójtowicz zagrał słabo w Radomiu, ale ma tego świadomość i chce to poprawić**

na siebie, spojrzeć w lustro i zapytać, co może zrobić więcej dla drużyny i dla siebie i od jutra skupić się na tym, żeby zacząć lepiej wyglądać i żeby coś poszło do przodu.

Trener John Carver mówił na konferencji, że było wyjątkowo ostro w szatni i że szok ma wami wstrząsnąć. Rzeczywiście było inaczej niż zwykle i nie zabrakło tym razem mocnych słów?

Myszę, że nie możemy się głaskać. Jesteśmy młodym zespołem, ale to nie znaczy, że może być taryfa ulgowa, jeśli tyle meczów z rzędu nie gramy tego, co powinniśmy. Jesteśmy poniżej optymalnej formy. Każdy powinien spojrzeć na siebie i podjąć w stosunku do siebie jakieś kroki, żeby to wyglądało lepiej. Nikt nie jest z siebie zadowolony. Każdy widzi, że nie tak to powinno wyglądać. Na pewno uderzę się mocno w piersi. Zo-

baczę, co mogę zrobić lepiej, żeby pomóc drużynie.

Będąc w słabszej dyspozycji zagrać w Łodzi z Widzewem i nie możecie przegrać, bo znajdziecie się w strefie spadkowej. Presja będzie zatem coraz większa?

Wszystkie mecze do końca sezonu będą już ważne. W każdym są do zdobycia trzy punkty. A to, że najbliższy mecz jest z bezpośrednim przeciwnikiem, tylko dodaje motywacji wszystkim, żeby się wziąć w garść i pokazać to, co potrafimy, a nie to, co pokazaliśmy w Radomiu czy w ostatnich meczach. Jest to dla nas wstyd, że tak wyglądamy i nie boję się użyć tego słowa. Nie możemy tak grać, bo to do niczego nas nie zaprowadzi. Mam nadzieję, że każdy weźmie się w garść i wrócimy na odpowiednie tory.

© P